

K. Jężyński

Kalendarz DZIEDZICTWA

bl. Jana Sarkandra

dla ludu polskiego na Śląsku

na rok Pański

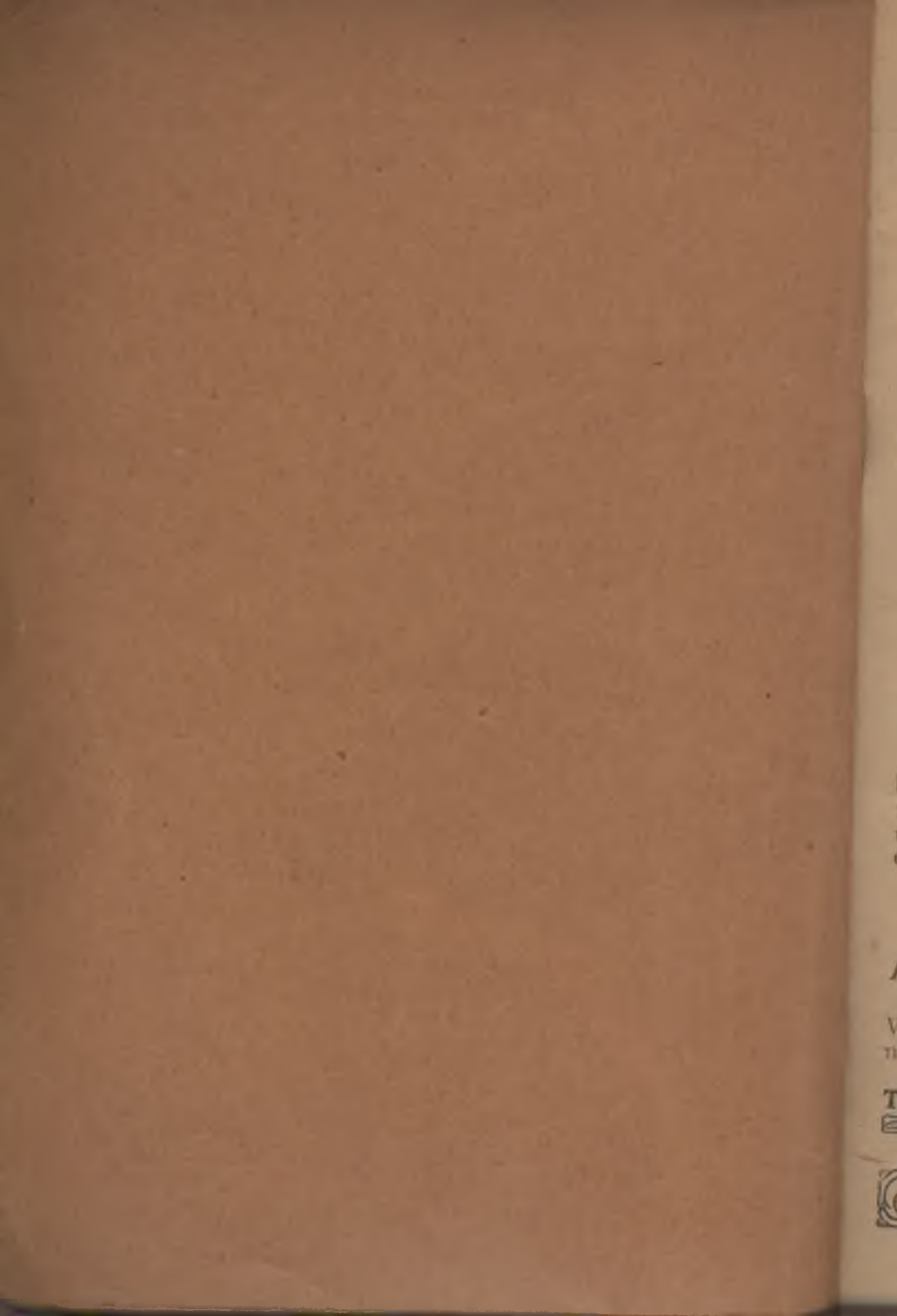
❖ 1920 ❖


liczący 366 dni.

Rocznik 34.

WŁASNOŚĆ MUZEUM
TOW. LUDZKAWICZEGO
W OKSZYŃIE
No — GIESZY 2031

Drukłem i nakładem Dziedzictwa bl. Jana Sarkandra





Jedynym pismem katolickiem polskiem na Śląsku Cieszyńskim,
wychodzącem od 72 lat, jest

„Gwiazdka Cieszyńska”

W zaraniu wolności ludów, w r. 1848. powołana do życia przez nieustraszonego, młodego działacza i niestrudzonego pracownika koło uświadomienia narodowego na Śląsku, ś. p. Pawła Stalmacha, stała w ciągu swej długoletniej działalności wśród katolickiego ludu polskiego na Śląsku jako jedyna gazeta polska na straży praw i interesów narodowych, religijnych, społecznych i gospodarczych. Nie ugięła się pod szykanami władz obcych, ani pod obuchem kar sądowych, wymierzanych za otwartą obronę ludności polskiej; ona to przedewszystkiem podtrzymywała w ciężkich czasach ucisku i przemocy brutalnej ducha narodowego i przygotowywała ciągle i systematycznie, bez oglądania się na prawo lub na lewo, teren obecnego oswobodzenia Śląska z pod jarzma obcego i przyłączenia go do Macierzy — Polski.

Z początkiem roku 1920 przekształconą zostanie na dziennik,

by tem skuteczniej propagować w tym okresie zamętów hasła religijne i narodowe, ideały społecznej sprawiedliwości; oprócz tego wychodzić będzie w sobotę tygodniowe wydanie »Gwiazdki Cieszyńskiej«, zawierające wszystkie najważniejsze całotygodniowe wypadki w polityce i w kraju.


Prenumerata roczna dziennika . . . 72 K

» » tygodnika . . . 20 K

***Każdy Polak-katolik, każda rodzina winna zaabonować
codzienne wydanie „Gwiazdki Cieszyńskiej“!***

Wydaje się nieraz na niepotrzebne rzeczy dużo pieniędzy, ofiarując na prenumeratę roczną dziennego wydania »Gwiazdki« kilkadziesiąt koron.

**Tylko zapomocą silnej prasy, popieranej i czytanej przez polski
ogół katolicki na Śląsku, zdobędziemy lepszą przyszłość!**





BLOQ. JAN SARKANDER.

KALENDARZ DZIEDZICTWA

blog. Jana Sarkandra

dla ludu polskiego na Śląsku

na rok Pański

 **1920** 

liczący 366 dni.

ROCZNIK 34.

CIESZYN.

Drukiem i nakładem »Dziedzictwa bł. Jana Sarkandra«.

00246211



8714

Rok 1920.

jest rokiem przestępnym i liczy 366 dni.

Cztery pory roku astronomicznego.

Wiosna rozpoczyna się 21. marca.
Lato rozpoczyna się 22. czerwca.
Jesień rozpoczyna się 23. września.
Zima rozpoczyna się 22. grudnia.

Chronologiczne znaki w r. 1920.

Liczba złota 2.
Epakta X.
Okres słońca 25.
Litera niedzielna DC.

Suche dni (w środy, czwartki i soboty cztery razy w roku).

1. po pierwszej niedzieli Wielkiego Postu: 25., 27. i 28. lutego;
2. po Zielonych Świątkach: d. 26., 28. i 29. maja;
3. po Podwyższeniu św. Krzyża: 15., 17. i 18. września;
4. po trzeciej niedzieli Adwentu: 15., 17. i 18. grudnia.

Święta ruchome:

Niedziela Starozapustna (Siedmiedziesiątnica) 1. lutego.
Popielec 18. lutego.
Siedmi boleści N. M. P. 26. marca.
Wielkanoc 4. kwietnia.
Dni krzyżowe 10., 11. i 12. maja.
Wniebowstąpienie Pańskie 13. maja.
Zielone Świątki 23. maja.
Niedziela św. Trójcy 30. maja.
Boże Ciało 3. czerwca.
Serca Jezusowego 11. czerwca.
Pierwsza niedziela adwentu 28. listopada.

Zaćmienia w roku 1920.



























W r. 1920. będą dwa zaćmienia słońca i dwa zaćmienia księżyca. Widzialne będą w Polsce oba zaćmienia księżyca.

Pierwsze zaćmienie księżyca jest całkowite. Zdarzy się w godzinach porannych 3. maja i można je będzie widzieć w Europie, południowo-zach. Azyi, na oceanie Indyjskim, w Afryce, na oceanie Atlantyckim, w Południowej Ameryce, Północnej Ameryce oprócz zachodniej Kanady i Alaski i we wschodniej części oceanu Spokojnego. Częściowe zaćmienie rozpoczyna się o godz. 1. min. 1 i kończy o godz. 4. min. 41 rano; całkowite zaćmienie trwa od godz. 2. min. 15 do godz. 3. min. 27.

Pierwsze zaćmienie słońca jest częściowe i zdarzy się w godzinach przedpołudniowych dnia 18. maja od godz. 5. min. 17 do godz. 9. min. 13. Widzialne będzie na oceanie Indyjskim i w Australii.

Drugie zaćmienie księżyca, przypadające na godziny popołudniowe dnia 27. października, jest znowu całkowite. Częściowe zaćmienie rozpoczyna się o godz. 1. min. 26 a kończy się o godz. 4. min. 58 po południu. Całkowite zaćmienie trwa od godz. 2. min. 29 do godz. 3. min. 54. Widzialność zaćmienia rozciąga się na przeważną zachodnią część Północnej Ameryki, ocean Spokojny, Australię, Azyę, ocean Indyjski, wschodnią Afrykę i wschodnią Europę.

Drugie zaćmienie słońca będzie 10. listopada. Jest to dość znaczne zaćmienie częściowe, podczas którego trzy czwarte średnicy słonecznej przykryje księżyc. Początek o godz. 2. min. 47 po południu nad jeziorem Pike na terytorium Keewatin w zach. Kanadzie, a koniec o godz. 6. min. 57 wieczorem w pobliżu Madeiry. Widzialne będzie w północno-wschodniej, północnej Ameryce, południowej Grenlandyi, północnej części Atlantyku, zachodniej Europie, Maroku, Algierii i północno-zachodniej Saharze.

Dni tygodn.	ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. Cz.	N. R. Obrz. P.	Nowy Rok		7:52	4:13
2. P.	Makarego Op.	Kaspra		7:52	4:14
3. S.	Genowefy	Grzegorza		7:52	4:15
1.	Ew. św. Mat. 2, 19—23.	Ew. św. Mat. 2, 13—23.			
4. N.	Po N. R. N.Im.J.	Po N. R. Balt.		7:52	4:16
5. P.	Telesfora ☸	Szymona		7:52	4:17
6. W.	Objaw. P.	Epifanii		7:52	4:18
7. Śr.	Walentego B.	Juliana		7:52	4:20
8. Cz.	Seweryna Op.	Erharda		7:51	4:21
9. P.	Juliana	Marcyanny		7:51	4:22
10. S.	Pawła Pust.	Zacharyasza		7:51	4:23
2.	Ew. św. Łuk. 2, 42—52.	Ew. św. Łuk. 2, 41—52.			
11. N.	1 po 3 Kr. H.	1 po Ep. Al.		7:50	4:24
12. P.	Ernesta	Reinholda		7:50	4:26
13. W.	Weroniki ☸	Hilarego		7:50	4:27
14. Śr.	Hilarego Bisk.	Feliksa		7:49	4:28
15. Cz.	Maura Op.	Traugota		7:49	4:29
16. P.	Marcelego I. P.	Marcelego		7:48	4:30
17. S.	Antoniego Op.	Antoniego		7:47	4:32
3.	Ew. św. Jana 2, 1—11.				
18. N.	2 po 3 Kr. Pr.	2 po Ep. Pr.		7:47	4:33
19. P.	Św. Rodziny	Ferdynanda		7:46	4:35
20. W.	Fab. i Seb. M.	Fabiana i Seb.		7:45	4:36
21. Śr.	Agnieszki ●	Agnieszki		7:44	4:38
22. Cz.	Wincentego M.	Wincentego		7:43	4:39
23. P.	Zaśl. N. M. P.	Emerencyi		7:42	4:41
24. S.	Tymoteusza	Tymoteusza		7:41	4:42
4.	Ew. św. Mat. 8, 1—13.				
25. N.	3 po 3 Kr. N.ś.P.	3 po Ep.		7:40	4:44
26. P.	Polikarpa B.	Polikarpa		7:39	4:46
27. W.	Jana Chryzost.	Jana Złotoust.		7:38	4:47
28. Śr.	Juliana	Karola		7:37	4:49
29. Cz.	Franciszka Sal.	Teobalda		7:35	4:50
30. P.	Martyny P.	Ludwika		7:34	4:52
31. S.	Piotra N.	Wirgiliusza		7:33	4:54

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
5.	Ew. św. Mat. 20, 1—16.				
1. N.	Staroz. (Śledmz.) Ig.	Starozap. Bryg.		7 32	4 55
2. P.	N. M. P. Gromn.	Oczyszcz. M. P.		7 30	4 57
3. W.	Błażeja M.	Błażeja		7 29	4 59
4. Śr.	And. Kors. ☉	Weroniki		7 27	5 00
5. Cz.	Agaty Panny	Agaty		7 26	5 02
6. P.	Doroty Panny	Doroty		7 25	5 03
7. S.	Romualda	Ryszarda		7 23	5 05
6.	Ew. św. Łuk. 8, 4—15.				
8. N.	Mięsop. (Sześćdz.) J.	Mięsop. H.		7 21	5 07
9. P.	Apolonii	Apolonii *		7 20	5 08
10. W.	Scholastyki	Scholastyki		7 18	5 10
11. Śr.	Zj. s. NMP. L. €	Eufrozyny		7 17	5 12
12. Cz.	Eulalii	Eulalii		7 16	5 13
13. P.	Juliana i Kat.	Kastora		7 14	5 14
14. S.	Walentego	Walentego		7 13	5 16
7.	Ew. św. Łuk. 18, 31—43.				
15. N.	Zapust. (Plećdz.) F.	Zapustna F.		7 11	5 17
16. P.	Julianny P.	Julianny		7 09	5 19
17. W.	Konstancyi	Konstancyi		7 08	5 21
18. Śr.	Popielec. Flaw. †	Zuzanny		7 06	5 22
19. Cz.	Konrada P. ●	Ulryka		7 04	5 24
20. P.	Nicefora †	Gobina		7 02	5 26
21. S.	Eleonory †	Eleonory		7 00	5 27
8.	Ew. św. Mat. 4, 1—11.				
22. N.	1. Wstęp. K.ś.P.	1. Wstępna G.		6 58	5 29
23. P.	Piotra Dam.	Łazarza		6 57	5 30
24. W.	Dzień przestęp.	Macieja		6 55	5 32
25. Śr.	Macieja Ap. †	Wiktora		6 53	5 34
26. Cz.	Wiktora z Ar.	Gotharda		6 51	5 35
27. P.	Aleksandra ☉ †	Aleksandra		6 49	5 37
28. S.	Leandra †	Romana		6 47	5 39
9.	Ew. św. Mat. 17, 1—9.	Ew. św. Mat. 15, 21—28.			
29. N.	2. Sucha Rom.	2. Sucha Rom.		6 45	5 40

(Martius)

Marzec































ma dni 31.

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. P.	Albina B.	Albina	☀	6'43	5'42
2. W.	Symplicyusza	Symplicyusza		6'41	5'43
3. Śr.	Kunegundy	Kunegundy		6'39	5'45
4. Cz.	Suche dni. Kaz. Kr. ☉	Adryana		6'37	5'47
5. P.	Suche dni. Fryder. O. †	Fryderyka		6'35	5'48
6. S.	Suche d. Perp. i Fel. M. †	Polikarpa		6'33	5'50
10.	Ew. św. Łuk. 11, 14—28.	Ew. św. Łuk. 11, 14—23.			
7. N.	3. Głucha Tom.	3. Głucha Perp.	☀	6'31	5'51
8. P.	Jana Boż. W.	Beaty		6'29	5'53
9. W.	Franciszki P.	Cyryla i Metod.		6'28	5'54
10. Śr.	40 Męczen. †	Aleksandra		6'26	5'55
11. Cz.	Konstantego	Rozyny		6'24	5'57
12. P.	Grzegorza W. € †	Grzegorza		6'22	5'58
13. S.	Rozyny †	Ernesta		6'20	6'00
11.	Ew. św. Jana 6, 1—15.				
14. N.	4. Środop. Mat.	4. Środop. Zach.	☀	6'18	6'01
15. P.	Klem. Dworzaka	Krzysztofa		6'16	6'03
16. W.	Lubnia M.	Henryka		6'13	6'04
17. Śr.	Jana Sark. M. †	Getrudy		6'11	6'06
18. Cz.	Edwarda	Anzelma		6'09	6'07
19. P.	Józefa Oblub. †	Józefa		6'07	6'09
20. S.	Eufemii i T. ☉ †	Joachima		6'05	6'10
12.	Ew. św. Jana 8, 46—59.				
21. N.	5. Czarna Ben.	5. Czarna Ben.	☀	6'03	6'12
22. P.	Oktawiana	Kazimierza		6'01	6'13
23. W.	Wiktora M.	Eberharda		5'59	6'15
24. Śr.	Gabryela Arch. †	Gabryela		5'57	6'16
25. Cz.	Zwiast. N. M. P.	Zwiast. M. P.		5'54	6'18
26. P.	7 bol. N. M. P. †	Emanuela		5'52	6'19
27. S.	Jana Damasc. †	Huberta		5'50	6'21
13.	Ew. św. Mat. 21, 1—9.				
28. N.	6. Kwietnia J. K.	6. Kwietnia M.	☀	5'48	6'22
29. P.	Eustachego	Eustachego		5'47	6'23
30. W.	Kwiryna Męcz.	Gwidona		5'45	6'24
31. Śr.	Balbiny †	Amosa Pr.		5'43	6'26

(Aprilis)

Kwiecień

ma dni 30.

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. Cz.	Wielki Czwartek. Hug. †	W. Czwartek		5'41	6'27
2. P.	Wielki Piątek. Franc. †	Wielki Piątek		5'39	6'29
3. S.	W. Sobota. Rysz. ☉†	W. Sobota		5'37	6'30
14.	Ew. św. Marka 16, 1—7.	Ew. św. Marka 16, 1—8.			
4. N.	Wielkanoc Izyd.	Wielkanoc		5'35	6'32
5. P.	Poniedz. Wielk.	Poniedz. Wielk.		5'32	6'33
6. W.	Celestyna P.	Ireneusza		5'30	6'35
7. Śr.	Hermana	Lujzy		5'28	6'36
8. Cz.	Dyonizego	Dyonizego		5'26	6'38
9. P.	Maryi Kl.	Demetryusa		5'24	6'39
10. S.	Ezechiela	Daniela		5'22	6'41
15.	Ew. św. Jana 20, 19—31.				
11. N.	1. Biała Leona ☾	1. po Wielk. L.		5'20	6'42
12. P.	Juliusza	Juliusza		5'18	6'44
13. W.	Hermenegilda	Idy		5'16	6'45
14. Śr.	Justyna M.	Tyburcyusza		5'14	6'46
15. Cz.	Anastazyi M.	Anastazyi		5'12	6'48
16. P.	Lamberta B.	Charyzyusza		5'10	6'49
17. S.	Rudolfa	Rudolfa		5'08	6'51
16.	Ew. św. Jana 10, 11—16.	Ew. św. Jana 10, 12—16.			
18. N.	2. po Wielk. A. ●	2. po Wielk. Fl.		5'06	6'52
19. P.	Emy Wdowy	Hermogenesa		5'04	6'54
20. W.	Sulpicyusza	Sulpicyusza		5'03	6'55
21. Śr.	Op. św. Józefa. Anzelma	Adolara		5'01	6'57
22. Cz.	Sotera i Kaja	Sotera i Kaja		4'59	6'58
23. P.	Wojciecha B.	Grzegorza		4'57	7'00
24. S.	Jerzego M.	Alberta		4'55	7'01
17.	Ew. św. Jana 16, 16—22	Ew. św. Jana 16, 16—23.			
25. N.	3. po Wielk. ☽	3. po Wielk. M.		4'53	7'03
26. P.	Kleta i Marc.	Kleta		4'51	7'04
27. W.	Peregryna W.	Anastazego		4'50	7'06
28. Śr.	Witalisa M.	Witalisa		4'48	7'07
29. Cz.	Piotra M.	Sybili		4'47	7'08
30. P.	Katarzyny S.	Eutropiusza		4'45	7'09



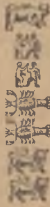
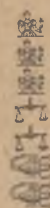
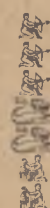
Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. S.	Filipa i Jakóba	Filipa i Jakóba	5+1	4:44	7:11
18.	Ew. św. Jana 16, 5—14.	Ew. św. Jana 16, 5—15.			
2. N.	4. po Wielk. A.	4. po Wielk. Z.		4:42	7:12
3. P.	Znal. ś. Krzyża	Znal. ś. Krzyża		4:40	7:13
4. W.	Flor., Godeh. B.	Floryana		4:39	7:15
5. Śr.	Piusa V. Pap.	Gotarda		4:37	7:16
6. Cz.	Jana w Oleju	Dytrycha		4:35	7:18
7. P.	Stan. B. M.	Bogumiła		4:34	7:19
8. S.	Obj. ś. Mich. A.	Stanisława		4:32	7:20
19.	Ew. św. Jana 16, 23—30.	Ew. św. Jana 16, 23—33.			
9. N.	5. po Wielk. G.	5. po Wielk. J.		4:31	7:22
10. P.	Izydora Or.	Wiktoryi		4:29	7:23
11. W.	Beatr. P. €	Adolfa		4:28	7:25
12. Śr.	Pankracego	Pankracego		4:26	7:26
13. Cz.	Wnieb. P.	Wniebowst. PS.		4:25	7:27
14. P.	Bonifacego	Bonifacego		4:24	7:29
15. S.	Zofii M.	Zofii		4:22	7:31
20.	Ew. św. Jana 15, 26 ; 16, 1—4.				
16. N.	6. po Wielk. J. N.	6. po Wielk. P.		4:21	7:31
17. P.	Paschalisa	Torpetusa		4:20	7:33
18. W.	Wenanc. M. ●	Wenancyusza		4:18	7:34
19. Śr.	Piotra Cel.	Potencyusza		4:17	7:35
20. Cz.	Bernarda S.	Anastazego		4:16	7:36
21. P.	Feliksa	Heleny		4:16	7:37
22. S.	Julii Panny †	Julii		4:15	7:38
21.	Ew. św. Jana 14, 23—31.				
23. N.	Ziel. Świątki	Ziel. Świątki		4:14	7:39
24. P.	Pon. Ziel. Św. ♀	Pon. Ziel. Św.		4:13	7:40
25. W.	Urbana I. Pap.	Urbana		4:12	7:42
26. Śr.	Filipa Ner. †	Bedy		4:11	7:43
27. Cz.	Jana Pap.	Florecyusza		4:10	7:44
28. P.	Wilhelma †	Wilhelma		4:09	7:45
29. S.	Maksyma i T. †	Maksyma		4:08	7:46
22.	Ew. św. Mat. 28, 18—20.	Ew. św. Jana 3, 1—15.			
30. N.	1. Ś. Trójcy. F.	Św. Trójcy Wig.		4:08	7:47
31. P.	Kanc. i T. M.	Petroneli		4:07	7:48

(Junius)

Czerwiec

ma dni 30.































Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. W.	Gracyana ☉	Nikodema		4'06	7'49
2. Śr.	Marcelina	Marcelina		4'05	7'50
3. Cz.	Boże Ciało	Erazma		4'05	7'51
4. P.	Franc. Kar. W.	Karpa		4'04	7'52
5. S.	Bonifacego	Bonifacego		4'03	7'53
23.	Ew. św. Łuk. 14, 16–24.	Ew. św. Łuk. 16, 19–31.			
6. N.	2. po Św. N. B.	1. po ś. Tr. Ben.		4'03	7'53
7. P.	Roberta	Roberta		4'02	7'54
8. W.	Medarda B.	Medarda		4'02	7'55
9. Śr.	Felic. i Pr. ☾	Pryma		4'02	7'56
10. Cz.	Małgorzaty	Ofnurego		4'01	7'56
11. P.	Serca J. Barn.	Barnaby		4'01	7'57
12. S.	Jana Fak. W.	Tobiasza		4'01	7'58
24.	Ew. św. Łuk. 15, 1–10.	Ew. św. Łuk. 14, 16–24.			
13. N.	3. po Św. A.zP.	2. po ś. Tr. El.		4'01	7'58
14. P.	Bazylego B.	Wita		4'01	7'59
15. W.	Wita i Mod.	Engelberta		4'00	7'59
16. Śr.	Benona B.W. ●	Laury		4'00	8'00
17. Cz.	Adolfa Bisk.	Volmara		4'00	8'00
18. P.	Marka i Marc.	Marka		4'00	8'00
19. S.	Juliany Fr.	Gerwazego		4'01	8'01
25.	Ew. św. Łuk. 5, 1–11.	Ew. św. Łuk. 15, 1–10.			
20. N.	4. po Św. Sylw.	3. po ś. Tr. S.		4'01	8'01
21. P.	Alojzego Gonz.	Sylasa		4'01	8'02
22. W.	Paulina B.	Gothilfa		4'01	8'02
23. Śr.	Zenona B. ☽	Bazylego		4'01	8'02
24. Cz.	Jana Chrz.	Jana Chrz.		4'02	8'02
25. P.	Wilhelma Op.	Prospera		4'02	8'02
26. S.	Jana i Pawła	Jeremiasza		4'02	8'02
26.	Ew. św. Mat. 5, 20–24.	Ew. św. Łuk. 6, 36–42.			
27. N.	5. po Św. Wł.	4. po ś. Tr. Wł.		4'03	8'02
28. P.	Leona II, Pap. †	Leona		4'03	8'02
29. W.	Piotra i Pawła	Piotra i Pawła		4'04	8'02
30. Śr.	Wsp. św. Pawła	Wsp. ś. Pawła		4'04	8'02

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca		
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.	
1. Cz.	N. Krwi P. J. ☉	Teobalda		4'05	8'02	
2. P.	Naw. N. M. P.	Naw. M. P.		4'06	8'01	
3. S.	Heliodora, Ot.	Korneliusza		4'07	8'01	
27.	Ew. św. Marka 8, 1—9.	Ew. św. Łuk. 5, 1—11.				
4. N.	6. po Św. Prok.	5. po św. Tr. U.		4'07	8'01	
5. P.	Cyryla i Met.	Szarloty		4'08	8'00	
6. W.	Izajasza Pr.	Izajasza		4'09	8'00	
7. Śr.	Pulcheryi P.	Wilibalda		4'09	7'59	
8. Cz.	Elżbiety Kr.	Kiliana		4'10	7'59	
9. P.	Lukr. i Cyr. ☾	Ludwiki		4'11	7'58	
10. S.	Jana z Dukli	Boгуsława		4'12	7'58	
28.	Ew. św. Mat. 7, 15—21.	Ew. św. Mat. 5, 20—26.				
11. N.	7. po Św. Pel.	6. po św. Tr. P.			4'13	7'57
12. P.	Henryka	Henryka			4'14	7'56
13. W.	Małgorzaty	Małgorzaty	4'15		7'56	
14. Śr.	Bonawentury	Bonawentury	4'16		7'55	
15. Cz.	Rozesł. Ap. ●	Rozesł. Apost.	4'17		7'54	
16. P.	M. B. Szkapl.	Ruty	4'18		7'53	
17. S.	Aleksego W.	Aleksego	4'19		7'52	
29.	Ew. św. Łuk. 16, 1—9.	Ew. św. Mat. 9, 35—38.				
18. N.	8. po Św. Szym.	7. po ś. Tr. Eug.		4'20	7'51	
19. P.	Winc. a Paulo	Rufina		4'21	7'51	
20. W.	Czesława W.	Eliasza		4'22	7'50	
21. Śr.	Praksedy P.	Pauliny		4'23	7'49	
22. Cz.	Maryi Magd. ☽	Maryi Magd.		4'24	7'48	
23. P.	Apolinar. B. M.	Apolinarego		4'25	7'47	
24. S.	Krystyny P.	Krystyny		4'26	7'46	
30.	Ew. św. Łuk. 19, 41—47.	Ew. św. Mat. 7, 13—23.				
25. N.	9. po Św. Jak.	8. po ś. Tr. Jak.		4'28	7'45	
26. P.	Anny M. NMP.	Anny		4'29	7'44	
27. W.	Pantaleona	Marty		4'30	7'42	
28. Śr.	Nazarego M.	Pantaleona		4'32	7'41	
29. Cz.	Marty P.	Beatryksy		4'33	7'40	
30. P.	Abdona i S.	Abdona		4'34	7'38	
31. S.	Ignacego L. ☉	Florentyny		4'35	7'37	

(Septembris)

Wrzesień
































ma dni 30.

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Stońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. Śr.	Idziego Op.	Idziego		5'19	6'41
2. Cz.	Stefana Kr.	Absolona		5'20	6'39
3. P.	Eufroz. i Izab.	Miłoslawa		5'22	6'37
4. S.	Rozalii P.	Rozalii		5'23	6'35
36.	Ew. św. Łuk. 7, 11—16.	Ew. św. Łuk. 17, 11—19.			
5. N.	15. po Św. W. €	14. po ś. Tr. H.		5'25	6'33
6. P.	Zacharyasza	Magnusa		5'26	6'31
7. W.	Reginy P.	Reginy		5'28	6'29
8. Śr.	Nar. N. M. P.	Nar. M. P.		5'29	6'27
9. Cz.	Gorgoniusza	Gorgoniusza		5'30	6'24
10. P.	Mikołaja z T.	Sotera		5'32	6'22
11. S.	Prota i Jacka	Prota		5'33	6'20
37.	Ew. św. Łuk. 14, 1—11.	Ew. św. Mat. 6, 24—34.			
12. N.	16. p. Ś. I. N. M. ☉	15. po ś. Tr. S.		5'34	6'18
13. P.	Tobiasza W.	Amata		5'35	6'17
14. W.	Podw. ś. Krzyża	Pod. św. Krzyża		5'36	6'15
15. Śr.	Such. 7 bol. N. †	Nikodema		5'38	6'13
16. Cz.	Kornel. i Cypr.	Eufemii		5'39	6'11
17. P.	Lamberta, Bl. †	Lamberta		5'41	6'08
18. S.	Józefa Kup. †	Tytusa		5'42	6'06
38.	Ew. św. Mat. 22, 34—36.	Ew. św. Łuk. 7, 11—17.			
19. N.	17. po Św. Jan.	16. po ś. Tr. R.		5'43	6'04
20. P.	Eustachego	Faustyna		5'45	6'02
21. W.	Mateusza A. i E.	Mateusza		5'46	6'00
22. Śr.	Maurycego	Maurycego		5'48	5'58
23. Cz.	Tekli P. M.	Tekli		5'49	5'56
24. P.	Gerarda B.	Gerarda		5'51	5'54
25. S.	Kleofasa	Kleofasa		5'52	5'51
39.	Ew. św. Mat. 9, 1—8.	Ew. św. Łuk. 14, 1—11.			
26. N.	18. po Św. Cyp.	17. po ś. Tr. C.		5'54	5'49
27. P.	Kosmy i Dam.	Kosmy i Dam.		5'55	5'47
28. W.	Wacława Kr. ☉	Wacława		5'56	5'45
29. Śr.	Michała Arch.	Michała		5'58	5'43
30. Cz.	Hieronima W.	Hieronima		5'59	5'41

(Octoberis)

Październik

ma dni 31.
































Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. P.	Remigiusza	Remigiusza		6'01	5'39
2. S.	Ś. Anioła Str.	Leodegara		6'02	5'37
40.		Ew. św. Mat. 22, 1—14.	Ew. św. Mat. 22, 34—46.		
3. N.	19. po Św. R.	18. po ś. Tr. L.		6'04	5'34
4. P.	Franc. Ser.	Franciszka		6'05	5'32
5. W.	Placyda M. ☾	Fidesa		6'07	5'30
6. Śr.	Brunona W.	Estery		6'08	5'28
7. Cz.	N.M.P. Różańc.	Fryderyki		6'09	5'27
8. P.	Brygidy Wd.	Pelagii		6'10	5'25
9. S.	Dyoniz. B. M.	Dyonizego		6'12	5'23
41.		Ew. św. Jana 4, 46—53.	Ew. św. Mat. 9, 1—8.		
10. N.	20. po Św. Fr.	19. po ś. Tr. G.		6'13	5'21
11. P.	Filom. i Plac.	Burkharda		6'15	5'19
12. W.	Maksymiliana ☽	Maksymiliana		6'16	5'17
13. Śr.	Edwarda Kr.	Edwarda		6'18	5'15
14. Cz.	Kaliksta Pap.	Kaliksta		6'19	5'13
15. P.	Jadwigi Wd. T.	Jadwigi		6'21	5'11
16. S.	Gawła Op.	Galusa		6'22	5'09
42.		Ew. św. Mat. 18, 23—35.	Ew. św. Mat. 22, 1—14.		
17. N.	21. po Św. Flor.	20. po ś. Tr. F.		6'24	5'07
18. P.	Łukasza Ew.	Łukasza		6'25	5'05
19. W.	Piotra z Al.	Ferdynanda		6'27	5'03
20. Śr.	Jana Kant. ☽	Wendelina		6'28	5'01
21. Cz.	Urszuli P. M.	Urszuli		6'30	4'59
22. P.	Korduli P. M.	Korduli		6'31	4'58
23. S.	Seweryna	Seweryna		6'33	4'56
43.		Ew. św. Mat. 22, 15—21.	Ew. św. Jana 4, 47—54.		
24. N.	22. po Św. R. A.	21. po ś. Tr. Sal.		6'35	4'54
25. P.	Chryz. i Dar.	Wilhelminy		6'36	4'52
26. W.	Ewarysta P.	Ewarysta		6'38	4'50
27. Śr.	Sabiny M. ☽	Sabiny		6'39	4'48
28. Cz.	Szymona i Judy	Szymona		6'41	4'47
29. P.	Narcyza B.	Narcyza		6'42	4'45
30. S.	Klaudyusza	Klaudyusza		6'44	4'43
44.		Ew. św. Mat. 9, 18—26.	Ew. św. Mat. 18, 21—35.		
31. N.	23. po Św. W.	22. p. ś. T. P. Ref.		6'45	4'41

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. P.	Wszyst. Święt.	Wsz. Świętych		6:46	4:40
2. W.	Dzień zaduszny	Dzień zaduszny		6:48	4:39
3. Śr.	Huberta B. ☾	Bogumiła		6:49	4:37
4. Cz.	Karola Borom.	Karola		6:51	4:36
5. P.	Elżbiety i Em.	Emeryka		6:53	4:34
6. S.	Leonarda W.	Leonarda		6:54	4:33
45.		Ew. św. Mat. 13, 24—30.		Ew. św. Mat. 22, 15—22.	
7. N.	24. po Św. Eng.	23. po ś. Tr. M.		6:56	4:31
8. P.	4 Koronatów	Seweryna		6:57	4:30
9. W.	Teodora M.	Teodora		6:59	4:28
10. Śr.	Andrzeja z A. ●	Proba		7:01	4:27
11. Cz.	Marcina B.	Marcina		7:02	4:26
12. P.	Marcina Pap.	Jonasza		7:04	4:24
13. S.	Stan. K. i Eug.	Brykcyusza		7:05	4:23
46.		Ew. św. Mat. 13, 31—35.		Ew. św. Mat. 9, 18—26.	
14. N.	25. po Św. J. M.	24. po ś. Tr. L.		7:07	4:22
15. P.	Leopolda W.	Leopolda		7:09	4:20
16. W.	Otmara Op.	Otona		7:10	4:19
17. Śr.	Grzeg. Cud.	Hugona		7:12	4:18
18. Cz.	Otona Op. ●	Gelazyusza		7:13	4:17
19. P.	Elżbiety Kr.	Elżbiety		7:15	4:16
20. S.	Feliksa de W.	Edmunda		7:16	4:15
47.		Ew. św. Mat. 24, 15—35.		Ew. św. Mat. 24, 15—28.	
21. N.	26. po Św. Of.	25. po ś. Tr. Of.		7:18	4:14
22. P.	Cecylii Panny	Cecylii		7:19	4:13
23. W.	Klemensa P.	Klemensa		7:21	4:12
24. Śr.	Jana od Krzyża	Emilii		7:22	4:11
25. Cz.	Katarzyny P. M.	Katarzyny		7:23	4:10
26. P.	Konrada B. ☉	Konrada		7:25	4:09
27. S.	Wal. i Wirg.	Gintera		7:26	4:09
48.		Ew. św. Łuk. 21, 25—33.		Ew. św. Mat. 21, 1—9.	
28. N.	1. Adw. Kr.	1. Adw. Ruf.		7:28	4:08
29. P.	Saturnina	Waltera		7:29	4:07
30. W.	Andrzeja Ap.	Andrzeja		7:30	4:07

(Decembris)

Grudzień

ma dni 31.

Dni tygodn.	Ś w i ę t a		Bieg	Słońca	
	rzymsko-katolickie	ewangelickie		wsch.	zach.
1. Śr.	Eligiusza B. †	Longina		7:31	4:06
2. Cz.	Bibiany P. €	Aurelii		7:32	4:06
3. P.	Franciszka Ks. †	Dymitra		7:33	4:06
4. S.	Barbary M. †	Barbary		7:34	4:05
49. Ew. św. Mat. 11, 2—10. Ew. św. Łuk. 21, 25—36.					
5. N.	2. Adw. Sab. O.	2. Adw. Am.		7:36	4:05
6. P.	Mikołaja B.	Mikołaja		7:37	4:05
7. W.	Ambrożego †	Agaty		7:38	4:04
8. Śr.	Niep. P. NMP.	Dzień pokutny		7:39	4:04
9. Cz.	Leokadyi P.	Joachima		7:40	4:04
10. P.	N.M.P. Lor. ● †	Judyty		7:41	4:04
11. S.	Damazego P. †	Damazego		7:42	4:04
50. Ew. św. Jana 1, 19-28. Ew. św. Mat. 11, 2—10.					
12. N.	3. Adw. Maks.	3. Adw. Otylii		7:43	4:04
13. P.	Łucyi i Otylii	Łucyi		7:44	4:04
14. W.	Nikazego	Nikazego		7:45	4:04
15. Śr.	Such. Iren. †	Ignacego		7:45	4:04
16. Cz.	Euzebusza	Ananiasza		7:46	4:04
17. P.	Łazarza Bisk. †	Łazarza		7:47	4:05
18. S.	Gracyana †	Wunibalda		7:48	4:05
51. Ew. św. Łuk. 3, 1—6. Ew. św. Jana 1. 19—28.					
19. N.	4. Adw. Nam.	4. Adw. Abr.		7:48	4:05
20. P.	Teofila M.	Izaka		7:49	4:06
21. W.	Tomasza Ap.	Tomasza		7:49	4:06
22. Śr.	Zenona M.	Beaty		7:50	4:06
23. Cz.	Wiktoryi P.	Dagoberta		7:50	4:07
24. P.	Wig. Ad. i Ew. †	Adama i Ewy		7:51	4:08
25. S.	Nar. Chr. P. ☉	Nar. Chr. Pana		7:51	4:08
52. Ew. św. Łuk. 2, 33—40.					
26. N.	Szczepana M.	Szczepana M.		7:52	4:09
27. P.	Jana Ewang.	Jana Ew.		7:52	4:10
28. W.	Młodzianków	Młodzianków		7:52	4:10
29. Śr.	Tomasza B.	Jonatana		7:52	4:11
30. Cz.	Dawida Kr.	Dawida		7:52	4:12
31. P.	Sylwestra Pap.	Sylwestra		7:52	4:13

Tablica świąt ruchomych w latach 1920—1938.

Rok	Niedziela Siedm-dziesiątnica	Popielec	Wielkanoc	Wniebowstą- pienie Pańskie	Zielone Świątki	Boże Ciało	Pierwsza nie- dziela adwentu
1920	1. lutego	18. lutego	4. kwietnia	13. maja	23. maja	3. czerwca	28. listopada
1921	23. stycznia	9. lutego	27. marca	5. maja	15. maja	26. maja	27. listopada
1922	12. lutego	1. marca	16. kwietnia	25. maja	4. czerwca	15. czerwca	3. grudnia
1923	28. stycznia	14. lutego	1. kwietnia	10. maja	20. maja	31. maja	2. grudnia
1924	17. lutego	5. marca	20. kwietnia	29. maja	8. czerwca	19. czerwca	30. listopada
1925	8. lutego	25. lutego	12. kwietnia	21. maja	31. maja	11. czerwca	29. listopada
1926	31. stycznia	17. lutego	4. kwietnia	13. maja	23. maja	3. czerwca	28. listopada
1927	13. lutego	2. marca	17. kwietnia	26. maja	5. czerwca	16. czerwca	27. listopada
1928	5. lutego	22. lutego	8. kwietnia	17. maja	27. maja	7. czerwca	2. grudnia
1929	27. stycznia	13. lutego	31. marca	9. maja	19. maja	30. maja	1. grudnia
1930	16. lutego	5. marca	20. kwietnia	29. maja	8. czerwca	19. czerwca	30. listopada
1931	1. lutego	18. lutego	5. kwietnia	14. maja	24. maja	4. czerwca	29. listopada
1932	24. stycznia	10. lutego	27. marca	5. maja	15. maja	26. maja	27. listopada
1933	12. lutego	1. marca	16. kwietnia	25. maja	4. czerwca	15. czerwca	3. grudnia
1934	28. stycznia	14. lutego	1. kwietnia	10. maja	20. maja	31. maja	2. grudnia
1935	17. lutego	6. marca	21. kwietnia	30. maja	9. czerwca	20. czerwca	1. grudnia
1936	9. lutego	26. lutego	12. kwietnia	21. maja	31. maja	11. czerwca	29. listopada
1937	24. stycznia	10. lutego	23. marca	6. maja	16. maja	27. maja	28. listopada
1938	13. lutego	2. marca	17. kwietnia	26. maja	5. czerwca	16. czerwca	27. listopada

Przepisy pocztowe.

I. Taryfa pocztowa w obrębie republiki.

1. **Listy zwykłe** do wagi 20 gramów 25 h, za każde dalsze 20 gr. lub napoczętą część tychże 15 h. Maksymalna waga listów zwykłych prywatnych wynosi 250 gr., zaś listów urzędowych 1 kg.

2. **Pocztówki:** a) pojedyncza pocztówka 15 h; b) pocztówka z odpowiedzią 30 h.

3. **Druki:** do wagi 50 gr. 10 h, za każde dalsze 50 gr. lub napoczętą część tychże 5 h; maksymalna waga wynosi 1 kg.

4. **Gazety:** od każdego egzemplarza 3 h.

5. **Papiery handlowe oraz próbki towarowe:** do wagi 250 gr. 25 h, do 300 gr. 50 h, do 750 gr. 75 h, do 1000 gr. 1 K. Maksymalna waga 1 kg. Polecenie każdej z powyższych przesyłek listowych kosztuje 25 h, należytość reklamacyjna 50 h.

6. **Listy wartościowe:** opłata listów wartościowych składa się: a) z opłaty na polecenie, t. j. 20 h; b) z opłaty od wagi listów według taryfy dla listów zwykłych, t. j. do gr. 25 h. a za każde następne 20 gr. lub część tychże 15 h i c) z opłaty w deklarowanej wartości listów, która to opłata wynosi do 100 K 25 h, a za każde dalsze 100 K lub część tychże 20 h. Najniższa łączna opłata jednego listu wartościowego wynosi jednak 1 K. Listy wartościowe prywatne dopuszczalne są na razie do wartości 1000 koron urzędowe zaś listy wartościowe bez ograniczenia wartości.

7. **Paczki:** dopuszczalne są paczki zwykłe, t. j. bez deklarowanej wartości do wagi 10 kg. Opłata wynosi: do wagi 5 kg. 2 K, za każdy zaś następny kilogram lub część tego 1 K. Adres przesyłkowy kosztuje 3 h.

8. **Przekazy.** Opłata do 10 K — 40 h, od 11 do 100 K — 70 h, za każde dalsze 100 K — 20 h, czyli

od 100 do	200 K	— K	90 h
"	200 "	300 "	1 " 10 "
"	300 "	400 "	1 " 30 "
"	400 "	500 "	1 " 50 "
"	500 "	600 "	1 " 70 "
"	600 "	700 "	1 " 90 "
"	700 "	800 "	2 " 10 "
"	800 "	900 "	2 " 30 "
"	900 "	1000 "	2 " 50 "

Na jeden przekaz wolno przesłać najwyżej 1000 K. Blankiet przekazowy kosztuje 5 h.

Taryfa telegraficzna.

1. Za krajowe depesze zamiejskie za każdy wyraz nie więcej jak 15 liter liczący 20 h, najmniej jednak za jedną depeszę 2 K.

2. Za depesze miejscowe (miejskie) za każdy wyraz 10 h, najmniej jednak za jedną depeszę 1 K.

3. Za depesze do państw ościennych za każdy wyraz po 50 h, najmniej jednak za jedną depeszę 3 K.

Taryfa telefoniczna.

1. **Sieci lokalne:** Opłata za abonament w obrębie 2 km. od stacyi centralnej przy ilości abonentów: do 100, od 100—500, wyżej 500.

a) Za aparat telefoniczny główny rocznie 240 K, 360 K, 420 K;

b) za aparat dodatkowy rocznie 75 K, 120 K i 120 K;

c) za każde 200 m. lub część 200 m. ponad 2 km. 12 K, 15 K i 18 K.

2. **Telefony międzymiastowe:** opłata za rozmowę trzyminutową w promieniu 25 km od stacyi 1 K, w promieniu 150 km. 2 K, w promieniu 100 km. 3 K, w promieniu 150 km. 4 K, w promieniu 200 km. 5 K i za każde dalsze 50 km. po 1 K dodatkowo.

Za rozmowy pilne pobiera się potrójną opłatę. To samo odnosi się do telegramów.

Za wezwanie przez posłańca 1 K.

Redakcye płacą połowę opłat telegraficznych i telefonicznych. Odnosi się to także do telegramów i rozmów telefonicznych, wysyłanych dla użytku redakcyi.

II. Zagraniczna taryfa pocztowa,

obowiązująca od 1. października 1919, zawiera następujące postanowienia: 1) listy do wagi 20 gr. 50 h, za każde dalsze 20 gr. 30 h; 2) karty pocztowe: za każdą pojedynczą kartę 20 h; 3) druki: za każde 50 gr. 10 h; 4) papiery handlowe: za każde 50 gr. 10 h, najmniej jednakże 50 h; 5) próbki towarowe za każde 50 gr. 10 h, najmniej jednakże 20 h; 6) należytość za polecenie (rekomendację) 50 h; 7) należytość za recepty zwrotne 50 h; 8) należytość reklamacyjna 50 h. Gazety w ruchu zagranicznym uważa się za druki i należy je opłacać wedle taryfy za druki. Z wyjątkiem listów i kart pocztowych inne zagraniczne posyłki pocztowe, a mianowicie druki, papiery handlowe i próbki towarowe muszą być przynajmniej częściowo opłacane przy nadaniu. Listy w ruchu zagranicznym dopuszczalne są bez ograniczenia wagi, natomiast najwyższa dopuszczalna waga dla próbek towarowych ograniczona jest do 350 gr, a dla druków i papierów handlowych do 2 kg. Korespondencya zagraniczna podlega — na razie — cenzurze wojskowej, z tego powodu też należy oddawać listy na pocztę otwartą i na każdej przesyłce uwidocznić ma nadawca swoje nazwisko i bliższy adres.

ROTA.

Nie rzucim ziemi skąd nasz ród!

Nie damy pogrześć mowy!

My, polski naród, polski lud,

Królewski szczerp piastowy.

Nie damy by nas zczeszczył wróg.

Tak nam dopomóż Bóg!

Do krwi ostatniej kropli z żył

Bronić będziemy ducha,

Aż się rozpadnie w proch i pył

Ta czeska zawierucha.

Twierdzą nam będzie każdy próg.

Tak nam dopomóż Bóg!

Nie będzie zdrajca pluć nam w twarz,

Ni dzieci nam czechmanił,

Orężny stanie hufiec nasz,

Duch będzie nam hetmanił —

Pójdziem, gdy zagrzmi złoty róg...

Tak nam dopomóż Bóg!



Z niewoli do wolności.

Sześćset lat prawie upływa od tego czasu, kiedy nasza ziemia śląska została oderwana od reszty Polski i skazana na połączenie z krajami czeskimi. Czesi wskutek tego bardzo chętnie zaliczają Ziemię cieszyńską do krajów korony św. Wacława i uważają ją za swoją własność. Lecz jakkolwiek los nie sprzyjał naszej ziemi, to jednak ziemia ta zachowała dawny swój charakter, została ziemią polską. Wprawdzie przed rokiem 1848. lud śląski nie zdawał sobie z tego sprawy, że jest ludem polskim, bo w czasach niewoli ludu, w czasach pańszczyzny lud jeszcze nie miał praw człowieka, lecz lud ten tak jak jego przodkowie mówił i modlił się po polsku.

Rok 1848. przyniósł wolność ludowi i zrzucił z niego jarzmo pańszczyzny. Rok ten jest też przełomowym rokiem dla Śląska Cieszyńskiego. Wśród tego ludu zjawia się młody człowiek o wykształceniu akademickim, Paweł Stalmach, który, sam czując się Polakiem, powiada temu ludowi, że jest ludem polskim, że język, którym mówi, jest językiem polskim. By zaś tem bardziej lud ten uświadomić i podnieść, zaczyna wydawać gazetę polską »Tygodnik Cieszyński«, zamieniony później na »Gwiazdkę Cieszyńską«. Nie łatwej podjął się pracy młody pracownik, syn chłopca polskiego z Bażanowic, nie jakoby lud stawiał mu przeszkody, lecz dla tego, że obce władze niemieckie ruch ten uważały za niebezpieczny i różnymi sposobami go tamowały. Lecz daremny trud. Ziarno, rzucone ręką Stalmacha, padło na grunt podatny i zaczęło przynosić owoc stokrotnie. Lud czytał, uświadamiał się i coraz bardziej lgnął do Polski, którą za matkę uznawał, jakkolwiek ona mu nic dać nie mogła, bo rozdarła na części, była sama przedmiotem wyzysku dla wrogów. A hart duszy śląsko-polskiej tem bardziej podziwiać należy, że polską została, jakkolwiek ją obcy opanowali. — W miastach Niemcy

wzięli do rąk rząd dusz polskich, po wsiach natomiast Czesi. — Niemcy w szkole zohydzali wszystko co polskie, karali za używanie języka polskiego, lepszy kawałek chleba obiecywali temu, kto gotów był wyrzec się mowy ojców. Po wsiach w szkołach polskich przemawiał nauczyciel czeski do dziecka polskiego językiem czeskim, bo nigdy nie uważał za stosowne nauczyć się po polsku, jakkolwiek żył z ludu polskiego. A w kościele ksiądz czeski słowo Boże po czesku głosił do tego wiernego Polsce ludu, a lud słuchał, nie protestował, nie spodziewając się, że po latach bardzo wielu podstępni Czesi bron z tej jego potulności przeciw niemu ukują i że na czeskie kazania i śpiew kościelny czeski powoływać się będą jako na dowód rzekomej jego czeskości.

Lecz ni szkoła, ni kościół nie potrafił zmienić duszy ludu, tem bardziej, że obok Stalmacha stanęli nowi pracownicy, jak ks. Ignacy Świeży, Jerzy Cienciała, ks. Józef Londzin i inni. Pod wpływem tych nieustraszonych i niestrudzonych pracowników narodowych lud nasz dojrzewał pod każdym względem. Egzamin dojrzałości swej złożył w r. 1872., kiedy to po raz pierwszy ogół tego ludu wybierał posła do parlamentu wiedeńskiego. Zjednoczony lud polski oddał swe głosy Jerzemu Cienciale, a następnie przez dłuższy czas darzył zaufaniem ks. Świeżego, znając jego przywiązanie do tej polskiej ziemi i odwagę do jej obrony. Garnął się ten lud do nowego stronnictwa, do »Związku śląskich katolików«, które na sztandarze swoim wypisało sobie: »Przez lud do Boga, przez Boga do ludu«. Ilekroć zachodziła potrzeba, zawsze skupiał się koło tego sztandaru, nigdy nie sprzeniewierzył się zasadom prawdziwie narodowym.

Przeciwnicy, widząc mocne stanowisko ludu, zabrali się do najostrzejszej z nim walki, którą prowadzili przede wszystkim przy pomocy zaprzańców, zdrajców swego ludu, którzy na wsypolskiej się urodzili, lecz swą polską duszę splamili haniebną zdradą. A że Niemcy rozporządzali pieniędzmi i posiadali władzę i wpływy, więc praca ich była łatwa, a walka ludu prawdziwie polskiego nader ciężką. W walce tej okazało się, że wśród naszych jest stanowczo za mało pracowników, że za mało mamy inteligencji, gdyż w niemieckich szkołach synowie naszego ludu nieraz zatracali poczucie polskości. To też z wdzięcznością powitano myśl Stalmacha, by stworzyć »Macierz szkolną«, towarzystwo kulturalno-oświatowe, którego zadaniem byłoby założenie polskiego gimnazjum w Cieszynie, które miało dać Śląskowi inteligencję rodzimą, wychowaną w duchu prawdziwie narodowym. I już w r. 1895. spełniły się marzenia pierwszego pioniera ruchu narodowego na Śląsku, lecz on niestety nie by

już świadkiem tego dnia szczęśliwego, kiedy to w starem, piastowskim mieście powstała ta mocna twierdza, która Śląskowi dała już niejednego pracownika. Dzieło rozpoczęte wymagało wiele trudów i ofiar ze strony społeczeństwa. Społeczeństwo, rozumiejąc, czym jest zakład polski na kresach, nie szczędziło nań grosza, tem bardziej, że niestrudzony skarbnik a późniejszy prezes »Macierzy szkolnej« ks. Londzin umiał wśród społeczeństwa utrzymać odpowiedni nastrój. Obok gimnazjum powstało wkrótce seminaryum nauczycielskie z polskim językiem wykładowym w Bobrku przy Cieszynie i gimnazjum realne w Orłowej. Profesorowie tych zakładów prócz pracy szkolnej uważali za swe zadanie krzepienie ducha naszego ludu. Praca szła rażno, tem bardziej, że wkrótce wychowankowie tych zakładów stanęli do wspólnej pracy. Wzrosła liczba pracowników. Ci, co pracowali nad obudzeniem uspiętego Śląska, mogli już o jego przyszłości być spokojni. Było już rzeczą zupełnie pewną, że Śląsk pozostanie polskim. Czekano tylko dnia, w którym Śląsk stanie się częścią składową Polski. Dzień ten nadszedł prędzej, niżesmy się spodziewali. Jeszcze przed rozkładem Austrii polskie stronnictwa polityczne na Śląsku »Związek śląskich katolików«, »Zjednoczenie narodowe (obecnie Polskie stronnictwo ludowe) i »Polska partya socjalistyczna« utworzyły »Radę Narodową Księstwa Cieszyńskiego«, która 30 października r. 1918 objęła władzę nad Śląskiem Cieszyńskim. A gdy w nocy z dnia 31. października na 1. listopada 1918. r. wojska polskie zajęły Cieszyn, wtedy ostatecznie została przerwana łączność z Austryą. Śląsk stał się częścią Polski. Wprawdzie po Śląsk ten wyciągają ręce Czesi, którzy nawet nie wzdrygnęli się przed zdradzieckim napadem w styczniu 1919. roku; wprawdzie zwycięskie mocarstwa ententy jeszcze nikomu Śląska nie przyznały i plebiscytem chcą o jego losie rozstrzygnąć, lecz my Śląsk uważamy już za część Polski, bo wiemy, że lud nasz, który nie zatracił polskości w długiej niewoli, który setki razy składał dowody, że jego ojczyzną jest Polska, że lud ten w dniu plebiscytu jeszcze raz okaże swą niezłomną wolę i Śląsk przyłączy do wolnej, zjednoczonej Polski.

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Kto chce wyjść na wysoką górę, nie bierze z sobą wiele ciężarów, tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Tak samo ubogi łatwiej dojdzie do doskonałości i nieba, niż bogaty. Klejnot nawet w lichej oprawie nie traci na wartości w oczach znawcy: tak samo cnotliwy w ubogiej sukni miły jest Bogu.

Deszcz krwi i ognia.

Deszcz krwi i ognia, Mocy sprawiedliwej kara,
Porażeniem niszczącym zalał całą ziemię!
Przebrała się bezbrzeżnej cierpliwości miara
I przerosło gór szczyty dzikiej zbrodni brzemię.
Podanaś jest w zagładę za twą złość szelżywą
I w perzynę obraca cię sądu godzina,
Europo zatwardziała, ty nowa Niniwoc!
I wołają piorunów huki: Twoja wina!
Chadzałaś w nieprawości i kłamstwa ozdobie,
Tarszałaś się wśród zbytku i występku łoża,
Uragając niebiosom, zadufana w sobie:
»Mamy Siłę i Złoto! Cóż nam bojaźń Boża?«
I msty ulewa spadła z niebios baldachimu
I wzrosły z niej na zgłiszczach twej buty wszetecznej
Krwawe kwiaty płomienia, czarne drzewa dymu
I puścił się w morderczy tan miecz obosieczny.
W pustynię zamienione są twe pola płodne,
Miasta z glazu, jak lniane splonęły namioty,
I pobite poległy twoje pierworodne
I obalony leży w gruzach Cielec złoty.
Świat złamany w swej pysze, jak pęd latorostki,
Je czarny chleb rozpacz, pije wino zgonu
I w dymiącej, zapiekłej krwi brocząc po kostki,
Czuje konieczną w życiu potrzebę Zakonu!
Ludzkość opamiętana, co zda się upiorem
Własnej mocy wczorajszej i widmem okropnem,
Rozdarłszy szaty swoje, grzbiet oblókłszy worem,
Biodra swe przepasuje powrośłem konopnem.
I jako wdowa czarna, szrenice przeciera
I pokutnemi łzami rosząc chude lice,
Skruszona, grzebie w szarym popiele i zbiera
Strzaskane Dziesięciorga Przykazań Tablice.

Walenty Krzyszcz.

Wymownica.

(Powieść z życia ludu śląskiego.)

1. Skargi biednej wdowy.

Pan wójt Chrapek męczył się już od rana nad zestawieniem rocznego rachunku gminnego. Siedział zamyślony przy stole, kołysząc się w wysokim krześle, poprawiał nerwowym ruchem okulary, w których jedno szkiełko było na trzy części pęknięte, zsuwając je raz na śpiczasty koniec nosa, to znów na zmarszczone czoło, przytem puszczał z długiej fajki ogromne kłęby niebieskiego dymu, splotał jakby z desperacji i dyndał nogami, z których zwisały się jakieś przedpotowe pantofle.

— Koszta kancelaryjne — mrucał — wynoszą rocznie sto-dziesiąć koron. Mniej nie można wpisać. — Napisał zatem na długi arkusz papieru 110 K. Potem się jednakże inaczej namyślił.

— Cóż to jest sto-dziesiąć koron? Ani na sznupaczkę! — Przekreślił cyfrę i wpisał stotrzydzieści. Ale i z tego nie był zadowolony. Ilez on to teraz potrzebuje papieru, atramentu, piór i druków rocznie! Zadumał się, puścił nowy kłęb dymu, potem strzyknął przez zęby ślinę w prawo i lewo, ciepnął jednym pantoflem pod łóżko i napisał 150 K.

Był tak zatopiony w pracy, iż całkiem nie dosłyszał słabego, nieśmiałego pukania w drzwi. Te odchyliły się trochę i z powstającej szczeliny wyrzwał koniec chudego, zsiniałego nosa, poniżej dwa długie kościste palce a nad progiem koniec zmarzniętego kyrpca.

— Któż tam? Nie puszczaj zimy do izby! — krzyknął opryskliwie. W tym momencie zniknęło z poza drzwi wszystko: nos, palce i kyrpiec; a klamka zamknęła się z cichym szelestem.

— Kiz tam czert łązi, — mruknął wójt, wpisując dalsze kolumny cyfr, nie oglądając się całkiem na drzwi. Za jakiś czas znów zapukało. Zniecierpliwiony wójt skoczył na równe nogi i poszedł ku drzwiom.

— Toćby już djasek człowieka porwał. Abobyh wloz tu lebo tam. Szarpnął drzwiami i ujrzał przed sobą staruszkę, trzę-



sącą się od zimna i strachu, ubraną niedostatecznie w szarą, po-
łatana odzież.

— A dyć to staro Gryńkula! Kaj was też w taką zimę czert
przwniół? Pójdźcie do Izby!

Weszli do kancelaryi gminnej. Wójt, nałożywszy sobie
fajkę, spytał:

— Cóżbyście radzi?

Staruszka obejrzała się nieśmiało po pokoju, stuknęła ki-
jem o deliny, chlipnęła jeden i drugi raz, otarła o dłonie nos a
potem zadrżała na całym ciele i poczęła tak gwałtownie łkać, że
się jej łzy z oczu puściły jakby z cebrzyka.

— Mosz djoble roroty! — zamruczał wójt. — Teraz się mi
tu bee cedzić! Cóż wam zaś do czechmana dogryzło?

— Ach, mój fojczicku złoty, libezny, moja duszenko rozto-
miło, — zakwilila babina. — A dyć się też ziniłujcie nade mną,
a dyć mie też nie opuszczajcie stare stworzenia, a dyć się przeca.
zlitujcie roz i róbcie jaki porządek.

— Co za porządek? Czy się zaś żerecie ze synem? — py-
tał wójt.

— Ach, mój aniołeczku roztomiły — jęczała dalej stara,
opierając się dygocąca o sękaty kij. — Kajbych jo się opowoczyła
doma co mówić. Ale uznejcie se fojczicku szwarniutki sami: Syn
mi mo dować jako na wymowe drzewo na opał, a nie dowo nic.
W izbie zima, jeść nima co, bo mi z łobilo nie oddzielo, jako mom
u halwokata doskumentnie zapisane, ani tego biednego ziem-
nioczka nie do, ani tego patyczka, a ku temu synowa Kasia je-
dnym cięgem przezywo, nadowo jak nieprzymierzając swini do
koryta a dziśka mie mietłą w sieni sprąła, zech sie ji zaplątła kole
nóg. Och ty Jezu, Jezu, Jezusku mój drogi, przenaświętszy, o
Maciczko Bożo, o wy wszyscy święci...

— No, dość, dość tego jowejczynio! — przerwał jej znie-
cierpliwiony wójt. — Między was to tam bezmali ni ma co kija
styrkać. Jaki jeden, taki drugi. Powiedzcie synowi, aż tu przy-
dzie pojutru, na Szczepona, to go rozmówię, Co się wom patrzy,
to wom musi dać. Darmo!

Wymownica spojrziała zalękniona w twarz wójtową. Zała-
mała ręce, wiodąc nieprzytomnie okiem i stęknęła przerażona:

— Kryste Panie, a dyćby mie synowa zatłókła, jakby se
dowiedziała, że gwóli mnie był Paweł do was sztelowany!

— No tóż jakóż to robić? Jak to chcecie żebych was po-
godził?

— Czy jo wiem? — szepnęła bezradna, obłapiając kurczowo
kij w dłonie.

— To pociście do mnie z tym rykiem przyszli?

— Ach mój złoty fojczicku, nie gniewejcie se też. Dyc' jo już sama nie wiem, co mom począć. Radźcie już sami jako możecie. Dyc' wom też to Panienka Maryja nie zapomni! Mój Paweł nie byłby jeszcze taki zły, ale ta synowa! Panienko święto!

— Idźcie se teraz do domu — uspakajał ją wójt. — Już to tam jakosik zrobię.

Uśmiechnęła się smutnie przez łzy, otarła fartuchem zwilgotniałą twarz, odetchnęła z głębi piersi, spojrzała jeszcze raz poządlawie w stronę rozpalonego pieca, w którym trzaskał ogień, a zawróciwszy, stuknęła dwa razy kijem i wyszła.

— A zostańcie też tu z Pónbóczkiem, mili ludeczkowie, — rzekła za drzwiami.

— Nó, nó! — odparł wójt. — A poprowcie sie! — Tak już był to zwykły mówić odchodzącym. Stara jeszcze coś zachrupała i stanęła przed sienią, spoglądając baczenie w zimowy dzień.

2. Na »Rabanisku«.

Wysokie zasy śniegu zalegały wyokoło, świat bieleł się cały a z pochmurnego nieba spadały ociężałe ogromne płatki śnieżne na ziemię. Poszła wydeptanym chodnikiem do wsi, od czasu do czasu przystawając, by wypocząć. Oglądała się też pilnie po okolicy, że to wszędzie panował niezwykły ruch i jakaś gorączkowa radość u ludu. Boć to przecież dzisiaj wilia Bożego Narodzenia, a zatem wszystko przygotowywało się śpiesznie do uporządkowania w chałupach, ażeby te święta godnie i mile w kółku rodzinnym spędzić.

U Mościka dziewczki myły ławy, stoły i naczynia kuchenne przy studni, nucąc wesołe piosenki godowe; stary Grzymała bieleł w swojej lichej lepiance sień, uśmiechając się z zadowolenia, że to będzie miał tak ślicznie w domu na święta, a kiedy ujrzał starą wymownicę, która się powoli drogą posuwała, zapatrzył się w niej, otwierając bezzębne usta szeroko.

— Skąd też ta staro tako ubeczano wali? — szepnął. Chłodziok babsko, ani też to na wilije wesołej chwilki ni ino.

U Mojeścika dziewczki myły ławy, stoły i naczynia kuchenne parobek łupał drwa, że to było trzeba na dwa dni opału przygotować, Sikorowie też uwijali się zwinnie po podwórzu, a wszędzie panowało radosne oczekiwanie tej świętej chwili, wszędzie te rozpogodzone twarze, te wesołe nawoływania, okrzyki, a śnieg padał wciąż zwolna i cichuteńko, pokrywając chaty, drzewa, zarosła miękkim puchem.

W dali majaczyły w mglistym zimroku sine pasma lasów jodłowych. Ku nim zwróciła się teraz stara wymownica. Została za sobą rozgwarzoną wieś, rozległe, w śnieżnych tumanach ginące pola i weszła w milczący bór, trzymając się głęboko wyżłobionej drogi leśnej.

Cisza uroczyście zawisła w powietrzu. Wysokie, smukłe jodły stały nieruchome, jakby w to świąteczne milczenie zasłuchane, z obwisłymi gałęziami iglastymi. W zacisznej kotlinie stała szopka z poddaszkiem. W szopce był żłóbek z grabkami dla rogaczy. Wymownica przystanąła i zapatrzyła się w małą szopkę. Przypomniała sobie, jak też to i Pan Jezus w takiej szopce się narodził, jak jemu też ta zima kiedyś tak sromotnie dokuczała.

— Wszak ty bożatko Boże wiesz, jak to nom biednym źle a niewygodnie. Dyc' żeś to ty som przeszeł te ziemską mizerote. To też ty, dzieciatko Boże, nie zapomnisz o nas biednych.

Zaszlochała serdecznie. Z poza szopy wyjrzała smukła głowa sarny. Objęła na wpół zdumionym, na wpół trwożnym wzrokiem dygocącą postać wymownicy. Snać jednak zrozumiała, iż jej od tej dobroduszej staruszki nic złego nie grozi, bo wyszła z kryjówki, skierowała się do wnętrza szopki i poczęła skubać sianko z grabków. Za nią weszły dwie młode sarenki. Śnieg kładł się dalej spokojnie i bez najmniejszego szelestu na drzewa, tu i ówdzie zesypywał się lekko z gałęzi, niekiedy tylko zaskrzypiało coś w głębi lasu, a wtedy podnosiła wymownica głowę, bo się jej zdawało, że to już zoczy to malutkie Dzieciatko Boże, wychylające się skądś z poza drzewka. Ale to tylko zajaczek wyjrzał z zarośla, chrupiąc coś w ząbkach.

Minęła las i stanęła przed gospodą na »Rabanisku«. Gwarno ci tam było w izbie szynkowej. Na ławach wzdłuż ścian siedziało pełno ludzi. Były to same Ewy i Adamy, co obchodziły tutaj dzień swoich imiennin. Przyszli z kościoła, stawili się do Goldfingera, ażeby coś wypić dla rozgrzania żołądka. Goldfinger roznosił butelki z warzonką, przymawiał każdemu, związał się chyżo po izbie, dorzucał drzewa do piecka i częstował gaździnki.

Kiedy wymownica weszła do izby, ażeby się cośkolwiek zagrzać, nie zwrócił nikt na nią uwagi. Stała sobie tam pod drzwiami jak kupka nieszczęścia, pociągając nosem zapach warzonki i dym cygarów.

Ujrzał ją wreszcie stary Krupa, również wymownik, siedzący ze swą szwagrową Moczalową za stołem, popijając często z kieliszka, że to dzisiaj miał także imienniny.

— He, wy tam, słyszycie? — zawołał na Gryńkule. — A pódźcie se też tu kapke przysiednąć. Łoto, wypijcie, bo wami zima pytluje.

— Och mój złoty kumoterku — odrzekła, uśmiechając się wdzięcznie, toście sie też mie nie powstydzili? Jacy też to jeszcze dobrzy ludzie na świecie!

— A nie fulejcie — rzekł kumoter dobrotliwie. — Czych sie to z waszym nieboszczykiem nie roz, nie dwa przy kieliszku ucieszył? Szkoda go, był to skłodany chłop. Ale wypijcie se!

Stara ujęła kieliszek chudymi palcami, podniosła do góry ku światłu, przejrzała się w czerwonym, gorącym, słodko pachnącym płynie i zawołała: Na zdrowie, kumoterku!

— Niech służy! Popijmy se starcko, pokieli żyjemy, a jak nas nie bedzie, to niech pije kto chce.

— Już też tam tego żywobycio dłógo nie bee, — westchnęła szwagrowa.

— Prowdeście rzekli!

— Smiótła już śmierć niejednego z nas! Na przykład takiego Klapke z Kątów.

— Lebo Byrtusa ze Szurówki.

— Abo te Margieciną ze Zolesio. Baba jak hól, zdrowo jak ryc a już pod dornikiem.

— Ach, ja, ja! O jowej jowej! Pónbóczku przenajdroższy!

— Dyć sie też, złoci ludkowie, nima o co hapelować, — oświadczyła Gryńkula z boleśnym uśmiechem. — Lepi już tam niejednemu na drugim świecie.

— Myślicie? — zapytał się kumoter. — Jobych tam jeszcze rod kapke pociągnął.

— Bo też to u nas co inszego. Mocie dzieci jak se patrzy, żyjecie se przy nich na sutej i porządnej wymowie.

— To tam je prawda — potwierdził. — A jak tam waszo synowa, fórt tako hyrno i spurno? Bezmali że mocie jakąsik żratwe.

— Ap, pytejcie sie! — odparła, a lzy zakręciły się jej w zaczerwienionych oczach. — U mnie nie było dobrze ani też nie bee. Już to taki los na mie biedną stwore czakoł.

— A co sie tam heecie starać! — uspakajał Krupa. — Wypijcie łoto. Jeszcze nigdy nie było, żeby jakosik nie było. Jak już inaczy nie bee, to chocioż bee źle. Na zdrowi! — Stary Krupa się już zawsze tak filozoficznie na ten cały kram w świecie zapatrywał.

Wtem otworzyły się drzwi i do szynku wszedł Gryń, syn wymownicy. Stara skurczyła się za stołem, otuliła się mocniej

w odziewaczkę, spoglądając nieśmiało ku synowi. Ten jednakże wcale jej nie spostrzegł. Poszedł do rogu pod szynkwas, gdzie siedzieli przedniejsi gospodarze. Powitał się z nimi, zamówił pół litra warzonki, zabierając do bandy.

— Witejże Pawliczku! — pozdrowił go Pyrchała, pierwszy radni, już tego podchmielony. — Ni ma ci też Jadam na miano? Wypij z nami!

Gryń, chłop wysoki, barczysty, z dobrodusznym wyrazem w twarzy, zacierał skostniałe od zimna ręce, rozglądając się uważnie po izbie. Dopiero teraz spostrzegł w przeciwległej stronie starą matkę. Spojrzał ku niej dosyć życzliwym okiem. Wypił kieliszek jeden, drugi i trzeci, otrząsł się, oczy zaszyły mu łzami, potem wstał, zawahał się coś, wreszcie wziął butelkę i postąpił w stronę towarzystwa Krupy.

— A cóż wy tu w tym kątku bojocie? — zagadnął ich żartobliwie.

— Na tak se rozprowiomy o naszej biedzie. Mama twoja też łoto ku nom przysiadła.

— Skąd wy idziecie? — zwrócił się do matki. — Od rana was nima w chałupie.

Wymownica się srogo zakłopotwała. Otworzyła usta, chlipnęła nosem, chciała coś wymówić, ale nie zdobyła się na słówko.

— No, to wypijcie se na te świętą wilije, — rzekł do niej. — A idźcie potem do domu, żebyście na wieczерze doszli. Rychtyk, coch miał mówić: aha, gwóli tego łobilo lebo drzewa; wieczór wom tam tego pocisnę do izby, ale tak, żeby moja staro nie widziała. Wiecie dobrze, żebych się przed nią nie obstoł.

Dopiero teraz ozwała się stara zachwyconym głosem:

— Wiem, wiem, Pawliczku, że mie ty nie skrzywdzisz. Schowię dobrze, żeby twoja nie widziała. Pónbóczek ci też zapłać. Jo wiem, żeś ty dobre dziecko! — Chwyła go za rękę, sciskając ją serdecznie i zalała się łzami.

Ale wnet się też głęboko zafrasowała. Więc to ten Pawliczek, jej roztomiłe dziecko, tak počciwie się chce nią zaopiekować, a ona, niewdzięczna, tak podstępnie przeciw niemu sobie postąpiła, szkaląc go prawie co przed chwilą u wójta. O jakie bolesne wyrzuty uczuła w duszy! Ani mu do oczy nie śmiała spojrzeć, tak winną czuła się względem niego. Na jej wynędzniałej, zapadłej twarzy pojawił się wyraz wielkiego cierpienia, oczy zapadły jej gdzieś w głąb, a dolna szczeka poczęła się trząść, jak we febrze.

Syn spojrział niespokojnie na nią.

— Czy sie wom źle zrobiło? — spytał miękko. — Może ściskani na dołku abo jako mdłość, lebo co?

— Nic mi ni ma, Pawliczku — odrzekła słabym głosem. Kapke mi tu parno w izbie, muszę wyńść na świeży luft.

— No to se już už idźcie, jo zaroz za wami do domu pójdę.

3. Smutna wilia.

I wyszła na pole. Zatoczyła się jak pijana, nie wiedząc zrazu, w którą stronę ma się obrócić. Chwyliła się potem chciwie jednej myśli: Iść natychmiast do wójta i cofnąć całą skargę przeciw synowi. Prosić go, ażeby Pawłowi ani słowa nie pisał.

Zaraz też zawróciła z powrotem do wsi. Zmierzch już poczynał zwolna zapadać, więc musiała się pośpieszyć, ażeby jeszcze przed wieczorem zdążyć do wójta. Wprawdzie trzęsły się pod nią nogi od słabości, chwiała się jej ciało od zmęczenia, ale wyczerpała wszystkie siły, byleby tylko rażno dojść.

Już też przechodziła koło kościoła. Za plebanią widniały szczyty domostwa wójta. Przed bramką kościelną przystanąła pierwszy raz. Musiała wypocząć, inaczej nie zrobiłaby ani kroku dalej, tak bardzo wyczerpały się jej nikłe siły. Kościelny Mru-gała szedł właśnie z plebanii ze świecami w rękę do kościoła. Przyozdabiał kościół na święta.

— A cóż wy, Gryńkulo, tak leciecie, czy już na jutrznię? — pytał. — Przeca macie czas; jutrznio dziepro o północy.

Machnęła tylko ręką i powłókla się dalej. Bogu dzięki, ot na podwórzu zastała samego wójta.

— Na kaj sie zaś pierecie, stworo? — wołał z daleka. — Wielu razy to jeszcze dziśka przydziecie do mnie?

Przystąpiła z pokorną miną do niego, pochwyciła go drżącymi palcami za guzik od kabota i rzekła błagalnym głosem:

— Mój drogi fojczczku, nie miejcie mi też za złe, ale gwóli Pawła moigo toch wom chciała jeno powiedzieć, żechmy się już pogodzili i nic mu nie potrzebujecie prawić. Przebocźcie, że was dopaluję, ale już je wszystko w porządku.

Zwaliła się bezsilna na ławkę pod oborą, jej twarz jednakże rozpromieniła się, że już sprawę załatwiła tak pomyślnie.

Wójt zmarszczył czoło, rzucając niechętnie spojrzenie ku niej.

— Widzicie ją — burknął. — Nejprzód goni, jakby ji terpeciny do nogawice naloł, narobi tartasu, nabroi, a potem zaś wszystko w nic chce obrócić, a człowieka dzierży za błozna. Zwykle jak stare klepuły.

Wymownica podniosła błagalnie dłonie, chcąc się uniewinnić, lecz wójt przerwał jej cierpko:

— Hnet po południu ech posłół gminnego biegóna do Pawła. Jest na pojutru gwóli was sztelowany, a teraz dejcie mi roz święty spokój, bo jo ni nom czasu wasze klebety posłóchać. — Jura! — zawołał na parobka, zwracając się ku stodołom. — Pódl ze mną na sásiek, trza cosik siana na święta dlo bydła przegotować.

Gryńkula siedziała skulona długo pod ścianą jak kawał rzuconego drzewa. Zapatrzyła się błędnym okiem w zapadający zmierzch i ani nie czuła coraz dotkliwszego mrozu. Podniosła się wreszcie, powiodła nieprzytomnie wzrokiem wokoło, potem poszła zwolna chwiejnym krokiem drogą, przystawając co chwila, że to nie wiedziała, dokąd ma się teraz udać.

Tu i ówdze zapłonęły już okna w chatach w lśniących blaskach, bijąc żarzącymi promieniami w szarugę śnieżną, zapalając każdy płatek spadającego śniegu na kształt skrzących, czerwonych gwiazdek. Po oświetlonych szybach snuły się cienie ludzi i ozgwarzonych, a kiedy się gdzie z sieni do izby drzwi otwarły, buchała z pod strzechy para w gęstych kłębach, roznosząc jrzecudną woń skwarzącego się masła z miodem, prażonych klusek, gotowanego grochu i pieczek. Gryńkula chwytła chciwie nosem zapach. Spoglądała też tęsknie w jarzące się okna, wdychając boleśnie na myśl, że to ona dzisiaj jedyna nie będzie mogła odprawiać wiliji. Bo gdzieżby ją tam synowa dzisiaj do stołu przyjęła! A tak się jej też chciało jeść, boć to przecież sumiennie dzisiaj pościła, nie mając od wczoraj nic w ustach.

Ale pójdzie, wślizgnie się cichaczem do swej zimnej komorki, otuli się pierzyną i osłodzi sobie wieczór wigilijny przynajmniej wspomnieniami o dawnych szczęśliwych latach, kiedy to z nieboszczykiem obchodziła wiliję Bożego Narodzenia, kiedy to jeszcze była gaździnką na gruncie zagrodniczym i kiedy to te jej dzieci były jeszcze tak małe, serdeczne a libezne, w niczem jej nie krzywdzące.

Zbliżywszy się do domu, ujrzała już przez okno wszystkich domowników przy wieczerzy. Poszła ku drzwiom, chcąc je otworzyć, lecz ze zgrozą zauważyła, że były zamknięte. Nie miała tyle śmiałości, ażeby prosić o wpuszczenie do domu. Podeszła ciężkim, nierównym krokiem pod okno, wpatrując się ukradkiem w wnetrze domu. Zajadali tam smacznie, gwarzyli wesoło, a nikt też z nich nie wspomniał, że jednej osoby brakuje, że starki niema przy stole. Gaździnka była jakaś nadąsana, z jej twarzy nie wróżyła sobie Gryńkula nic dobrego dla siebie. Paweł miał minę jakaś zakłopotaną, reszta domowników była w wy-

śmienitem usposobieniu. Bo też to wybornie smakowały im po całodziennym poście potrawy.

— Gdyby mi też aspoń jedne gałuszczyki tu na pole podali! — myślała wymownica z wielkim żalem. — Tak se jedzą, a tu człowiekowi burczy głodny żołądek.

Spoglądała ciekawym wzrokiem w stronę blachy, gdzie się z wielkiego, brzuchatego dzbana kurzyło. To tam pewnie mają herbatę. Na samą myśl o gorącej, słodkiej herbacie z arakiem przeszedł ją gorący dreszcz i na chwilę nie czuła szczypiącego mrozu w palcach u nóg.

A tu się coś koło jej nóg z cichem skomleniem zapłatało. Był to stary Heko, wierne psisko, które też lepsze czasy pamiętało, kiedy to stara Gryńkula była jeszcze gaździną. Za Gryńkulę, ułagł się na gospodarstwie, za jej rządów nie cierpiał tego głodu i chłodu w zimie, co obecnie.

— Tak, tak, ty mój Heko — przemówiła do niego, głaska-
jąc go po chudym łepie. — Nie myśleliśmy se, że to kiesikej wilije pod oknem na mrozie bedymy obchodzić. Człowiek kiesikej harował dło dzieci, ujmoł se tego chlebiczka od gęby, ale jak przyszły święta, sie tej straty nie żałowało, by jeny dzieciskom dogodzić, wesołą chwilę im sprawić, we wilije dobrze ich nasycić, a teraz człowieku stój se tu a dziwej sie, jak se pojodają, a tobie ślinka kapie z gęby.

Zaszlochała serdecznie, aby se choć kapke tego bólu upuścić, bo ją tak dusił niewymowny żal za gardło, że se już rątku nie wiedziała. Poszła sobie do obory ku krowom, gdzie było przynajmniej ciepło. Zakopała sie tam w kacie do słomy, a stara Rozeta, to najstarsze z bydła, które wedle kontraktu u notaryusza jej się należało, a którą jej odmówiła synowa, wyciągała ku niej łeb, spoglądając ze zdziwienia na nią, nie mogąc zrozumieć, pocco to ta stara gaździnka obok niej układa się do noclegu.

Po chwili weszła do obory gaździnka z dziewczkami. Przyniosły opłatki, rozdzielając je między krowy. Gryńkula przycisnęła się mocniej do kątku, ażeby jej nie zauważono. Dziewka Hanula podała wielki opłatek Rozecie. Krowa przeżuła, puszczając kawałek opłatka w słomę. Gryńkula ukradkiem pochwyciła odłamek, wtykając go w usta. Aspoń tela miała wilijówek.

Hanula jakoś spostrzegła wymownicę. Kiedy gaździnka wyszła, odezwała sie litościwie do starej:

— Dobrze staro, żeście tu schowali. Kryste Panie, co to zaś było gwóli was ku wieczoru krawalu; był tu poseł ginny skyras jakisikej waszej żałoby. I myśny oberwały ze Zużą. Mó-

wiła gaździno, że jak sie ji ukożecie na oczy, to was spiere, wiela jeny wlezie.

Wymownica opuściła głowę głęboko na piersi, nie odpowiadając ani słówka. Dziewce się jej jakoś bardzo żal zrobiło.

— Siedźcie se tu na chwilę, przyniesę wam kapke maszczonaj kasze i nugli ze serem, coch se ód wieczerzy na jutrznią schowała. Dyc to przeca nie uchodzi ze starą stworą nagrować gorszy, niż z tem bydelkiem.

Grynkula ją też jeszcze prosiła, aby jej przyniosła z komory odświętne szaty. Postanowiła pójść na jutrznię, a potem udać się do sąsiedniej wioski, gdzie żyła na skromnej chałupie jej najmłodsza córka Terezka, która jej zawsze największe przywiązanie okazywała.

Hanula przyniosła jej miskę z kluskami i kaszą, podała jej opłatków, jabłek i orzechów. Wymownica, dziękując dziewczce gorąco, spożyła wieczerzę, a zaspokoiwszy głód, uczuła pewien błogi spokój w duszy. Usiadła na snopku i postanowiła do północy przesiedzieć. Hanula położyła się spać na wyro. Zapaliła małą lampkę i rzekła:

— Jo sie kapke prześpię, a wy, starcko, kie nie leżycie, obudźcie mie kole północy. Pójdemy potem na jutrznie.

— Dobrze, dobrze, aniołku, Już jo cie potem zeżyne.

4. Ostatnia jutrznia.

O północy rozpoczęła się jutrznia w kościele. Ludu naciśnięło się do wnętrza bardzo dużo, a wciąż nowe tłumy napływały z pola, tak, że się nie mogły pomieścić w środku i musiały obłęgać kościół od strony cmentarza.

Grynkula, która jedna z pierwszych była w kościele, zajęła miejsce pod chórem w kątku, gdzie ten najuboższy ludzek się tłoczył. Uklękała na jakiś występek, zanosząc korne modły do Bóże go Dzieciątka. Wspaniale wyglądało w kościele — jak w niebie. Wszystkie ołtarze i lustry błyszcząły w jarzącem się świetle świec, było tak widno, jak we dnie, ze wszystkich obrazów, szkieł i złożonych filarów były snopy promieni, a lud, odświętnie ubrany, falował w kościele jak łan dojrzewającego zboża.

Kiedy ksiądz proboszcz wyszedł z zakrystyi do ołtarza, zaczęły organy huczeć jakąś dziwną, przecudną melodyę, zrazu wolno, potem coraz szybciej, radośniej, że się rozśpiewały jak te chóry tryumfujących aniołów nad stajenką betleemską, a potem, kiedy znów przycichły, ozwały się słodkie, miłe, harmonijne głosy dzieci, śpiewających kolędy. Rzewne melodye, nucone przez

niewinną działawę, tak przejęły każdego, że niejednemu zakręciły się z rozczulenia łzy w oczach, niejeden spoglądał zachwconem okiem w górę na chór, a tu i ówdzie wyrwały się pokorne westchnienia, jakieś szepty pełne świętej lubości, lub przyciszone łkania wzruszonych parafian.

Gryńkula podniosła dłonie do góry, trwając w gorącej modlitwie. Przenikały ją jakieś miłe dreszcze, a wspomnienia z dawnych lat cisnęły się jej gwałtem do głowy.

— Też tak i moje dzieci kiesikej pięknie z rechołem śpiewały. Jakechmy sie to wtedy z nieboszczykiem cieszyli! Wtedy sie mi zdało, że dzieci, to najwspanialszy dar Boski, że to warto, aby człek do ostatniego tchu harował nad ich wychowaniem, aby z nich wyrobić dobrych ludzi i aby im dać kąsek pewnego chleba na przyszłość. Byłach przekonana, że sie mi odwdzięczą. A dzisiaj? O jak gorzkie chwile spędzom na swoi stare roki!

Opuściła dłonie, zadygotała na całym cielem i takie ją dzikie a szalone szlochanie wzięło, że bliżsi spoglądali na nią zdziwieni, a niektórzy, rozumiejąc, co starą gniecie, smutnie kiwali głową.

Wychodziła z kościoła ostatnia. Dawno się już był lud rozszedł po chatach, cmentarz, ścieżki i drogi opustoszały, okna w kościele pociemniały, a nawet psy, zaniepokojone tłumami wracających ludzi z jutrzni, zaprzestały ujadać. Wyszła z kościoła na cmentarz. Uroczysta cisza otuliła już całą wieś, świąteczne milczenie rozpostarło się po rozległych polach śnieżnych, a tylko księżyc przyświecał z gwiazdzistego nieba, rozlewając sinosrebrzyste światło po głuchej okolicy. Śnieg skrzył się w milionach jakby rozsianych gwiazd tęczowo barwnych, niekiedy podnosił się zlekka wiatr mroźny, skwiercząc blaszaną chorągiewką na dachu kościelnym.

Gryńkula powłókla się zwolna w kąt cmentarza. Tutaj wznosił się nad mogiłą jej zmarłego męża czarny, pochylony krzyż. Kiedy jej coś szczególnie dokuczało, chodziła zwykle na cmentarz, ukłękła na grobie nieboszczyka i żaliła się jemu ze serca na swoje krzywdy, w przekonaniu, że nieboszczyk, który zawsze był dla niej tak dobry i czuły, wysłucha jej skargi i zaniesie je przed tron Najwyższego.

— Tak żeś mie też, mój drogi Janiczku, samą zostawił, tak sie też muszę tropić na te stare roki, a tu znikąd pociechy ani podpory. I czemużeś mie nie zabroł zaroz ze sobą? Czemuś mie odeszeł? Widzisz, Janiczku, dyckiś mi powiadał, że beesz rzykoł, abychmy razem zeszl z tego marnego świata, a teraz już od pięci roków sama sie biedzę.

I tak się to starowina skarżyła i żale wylewała, a wiatr mroźny coraz silniej dął od zachodu, chorągiewka na dachu coraz to żałośniej skwierczała, iskry rozsiane po szklisto-lodowatych śniegach drżały jakby w małych płomykach, a księżyc patrzył z wysokiego nieba zimnem, surowem nieubłaganem obliczem na ten padół ludzkiej niedoli.

Otuliwszy się mocniej hacką, oparła się plecyma o pochylony krzyż, przykucnęła do ziemi, modląc i żaląc się żarliwie. Niebawem już i zimna przejmującego nie czuła. Nawet ją jakieś miłe ciepło poczęło od serca przejmować, zrobiło się jej lżej, jakaś słodka mdłość ogarniała ją zwolna, a w uszach poczęło jej coś dźwięcznie grać i kolędy śpiewać. Poczęła się tym rzewnym dźwiękiem przysłuchiwać. Jakaś niewymowna rozkosz napełniła jej znękaną duszę. Zdawało się jej, jakoby ten księżyc począł tak miłuchno jak słonko w maju przyświecać, wszystkie śniegi zniknęły z pól, które się pokryły zielenią i świeżymi kwiatami, zapachniały kwitnące jabłonie i czereśnie, a te rzewne, tkliwe głosy dziecięce wciąż skądś napływały jakby złotym strumykiem, a kiedy w tej nadziemskiej rozkoszy wokoło spojrzała, zobaczyła tuż nad sobą nieboszczyka swego Janka, który się do niej uśmiechał. Krzyknęła z zachwyty, padła mu w objęcia, a on, głaskając ją po siwych włosach, mówił jej długo miłe, serdeczne słowa pociechy. A organy grały, głosy podnosiły się coraz weselsze, a wtedy pojawiło się i to Dzieciątko Boże, które było w kościele w szopce betleńskiej wystawione. Uśmiechnęło się miłe do niej, skinęło rączką i rzekło:

— Pójdź, biedna staruszeko, pozostaniesz już tu zawsze ze swoim Janiczkiem przy mnie. Kiedy cię twe własne dzieci nie przygarnęły, to ja cię przygarnę. Wszak żeś sobie na to zasłużyła.

Nazajutrz, kiedy kościelny szedł rano na Anioł Pański dzwonić, znalazł starą wymownicę leżącą pod krzyżem na mogile męża martwą i skostniałą.

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Państwo jest okrętem, a kotwicą religia; kto kotwicę odzruca, ten okręt na rozbicie naraża.

* * *

Pielgrzymem tu jest człowiek, a świat mu wygnaniem,
Przychodzimy na świat z płaczem, schodzimy z narzekaniem.

Memento.

Kiedy człowiecze kładziesz się w łoże,
pomyśl, że noc to ostatnia może,
że śmierć się czai iście gdzieś w sieni,
by wpaść zmienacka, wśród nocy cieni...

I przedstaw sobie, że leżysz w trumnie,
że ci śpiewają »requiem« szumnie...
czy nie śpiewała by dusza razem,
jakby kto zgrzytał po szkle żelazem?...

I pomyśl dalej, że w grobie trumna,
że grudki rzuca krewnych moc tłumna,
a czyby grudki, te grobu klucze,
nie śniały wrogo, jak śpiewy krucze?!

Przenieś się w myśli w lata daleko
i utwórz grobu twojego wieko;
cóż tam zobaczysz? — kości, piszczele,
kupę zgnilizny, robactwa wiele...

Nacóż więc twoje trudy, mokoły; —
tak, jak się rodzisz, i umrzesz goły,
poco dogadzasz zgniliznie tylko?
gdy życie krótkie, — bo małą chwilką.

I czy z twym grobem wszystko skończone?...
nie! — odwróć myśli i w inną stronę:
gdzie dusza będzie, gdy tylko ciało
w twojej opiece wciąż zostawało?...

Gdzie dusza twoja, ten obraz Boży,
w chwili stworzenia, Stwórcy dech hoży?
czy bogobojność twa ją zawiodła
do Boga-Stwórcy, jej życia źródła?!

Gdy żyjesz życiem do zabaw skorem,
zrób taką spowiedź codzien wieczorem —
i myślą przedstaw sobie grób świeży,
a dusza powie, jak żyć należy...

Poznasz, że życie, uciechy na nic,
bo niechęć budzą, niesmak bez granic,
poznasz, czem rozkosz ta ziemską łącie:
mrozem sparzone, zawędłe liście...

I jeśli pójdziesz rozważną drogą,
to chwila śmierci nie będzie srogą,
bo pośród cierpień i trosk zamieci,
wieczność w zwątpieniu słońcem zaświeci.

I sił ci doda i wzmocni wolę,
iż wszystko zniesiesz w tym łez padole,
cierpienie bolem duszę wybieli,
do serca wleje ci wdzięk anieli...



PAPIEŻ BENEDYKT XV.

Bądź wola Twoja!

(Z pod Ochodzitej.)

Słońce dobiegało już zachodnich kresów i przeświecało ukośnie poprzez liście drzew, które drgały, poruszane lekkim wichrem i na ziemię rzucały migotliwe cienie.

Pod rozłożystą gruszą przy stodole rozciągał się wygodnie stary Jano i chrapał smacznie; ale od czasu do czasu machał ręką, jakby chciał co od twarzy odpędzić, — to figlarz-słońce zaczęło przez liście przyświecać mu do oczu. Wreszcie zmrużył silnie brwi, ściągnął i otworzył ociężałe oczy, przetaił je i ziewając, podniósł się ze ziemi i usiadł; przyśniła mu się Ameryka...

Wszak to dzisiaj niedziela, więc może sobie na wywczasy pozwolić; w dzień roboczy musiałby się jeszcze pomimo sześćdziesiątki rażno w polu uwijać. Dobrze Pan Bóg zrobił, że też i niedzielę stworzył, mruczał sobie pod nosem i przeciągał z rozkoszą wypoczęte członki, aż kości w stawach trzeszczały. Wrócił bowiem już dosyć późno z kościoła istebniańskiego, bo pod Ochodzitą, to dobry kawał drogi, a nogi już go nie tak noszą, jak za młodu... Starość nie radość, mówił półgłosem, — ha, dawniej, to było inaczej, tobym i góry przeskoczył, ale dziś już sześćdziesiątka na karku, to i kościska bolą i niczego się człowiekowi nie chce... I myśli jego wróciły do tych chwil, które nam jak wiatr szybko i bezpowrotnie uchodzą, zostawiając tylko miłe wspomnienia...

Przed czterdziestu laty siedział on także, może nawet o tym samym czasie też pod tą rozłożystą gruszą; ale jak odmienne są te chwile, jak wielkie przejścia i wypadki dzielą je od siebie... Drzewa, niebo, rola i chata pozostały te same, ale ludzie pozmiękniali się. Był wówczas sierotą; — chata przedłużona, płoty się waliły, dach leciał, a on sam nawet na odsetki nie mógł zapracować, nie mówiąc już o spłaceniu długów. Wówczas to siedział jakiś przygnieciony, a smutek i zwątpienie poczęły się gnieździć w jego duszy; nie widział bowiem innej drogi wyjścia, jak tylko sprzedać ojcowiznę i pójść w szeroki świat, a tego nie chciał uczynić.

W domu nie miał nikogo, prócz starej służącej, Hany, jedynej pamiątki po zmarłych wcześniej rodzicach; zaniedbanie i nieporządek wyglądały z każdego kąta, a biedy wszędzie aż piśzczało... Aż tu wśród tego smutnego rozmyślenia jakaś nadzieja

jak jasne gorące słońko oświeciła i ogrzała jego duszę, jedno słówko dodało mu otuchy, pokrzepiło go, a słówkiem tem to Ameryka... Wszak było już tam tyłu z Istebnej, Koniakowa i Jaworzynki, a wszyscy powrócili zdrowi, a co najważniejsza, przynieśli dużo pieniędzy, o które mu tak bardzo chodzi. Niektórzy wprawdzie posprzedawali swe chaty i już więcej nie wrócili, ale onby tak nie zrobił, bo mu ojciec na łożu śmierci mówił: dierz się tej ziemi i chaty, jak kleszcz skóry, biedę klepaj, ale się dierz, bo ziemia dziś to grunt, to nasza siła...

Na wspomnienie słów ojca i myśl o Ameryce zaczęła pierzchać, bo ojciec zawsze go przestrzegał przed tą zmorą, która tyłu już ludzi zgubiła; bo i ojciec jego był tam także i krótko przed śmiercią wrócił, ale przez to zrujnował gospodarstwo i zatrud sobie i żonie życie rodzinne a i brat jego, Jura, który z innymi wybrał się na dobrobyt do Ameryki, przepadł bez wieści i od piętnastu lat nikt o nim ani słowa nie słyszał... Ale znów rozsądek mu mówił: wszyscy nie giną, tyłu już wróciło zdrowych i z pieniędzmi..., a Jano od Byrtów, a Jura od Mików, a Paweł z Czadeczki, a Jano z Cisowej, a Michał z Czerchli, a inni już starzy teraz gazdowie... Poskrobał się w głowie, zawołał z przekonaniem: dziej się wola Boża... pójdę!

Wsadził czapkę na ucho, wypluł się i jakby coś z niego spadło, tak poweselał, że nawet zaśpiewał głośno: Od Morawy desz idzie... i to tak głośno, że nawet stara Hana, na wpół głucha, wyleciała z chaty, by popatrzeć, co się Jankowi stało, a Burek przy budzie zaszczekał radośnie, bo wspomniały się mu te chwile, kiedy Janek przed laty jako chłopiec wyprawiał z nim harce i śpiewał mu wesoło.

To dobry znak, że Burek radośnie szczeka, pomyślał sobie chłopak i poklepał wierne psisko po głowie, a Burek, skowycząc z radości, że Janek znów na niego zwrócił uwagę, skoczył mu na piersi i dotknął się pyskiem prawie jego twarzy. Pocziwy Burku, czy cię jeszcze po powrocie zastanę? Szeptał rozczulony, głaskając głowę psa, a ten patrzył mu wesoło w oczy, kręcił ogonem i lizał wśród skomleń radosnych jego ręce, jakby chciał rzec: zastaniesz... zastaniesz, jeżeli tylko wrócisz...

Jak postanowił Janek, tak też i uczynił: chatę i rolę wynajął sąsiadowi, a sam cichaczem wybrał się do Oświęcimia, bo wojsko go czekało, a z Oświęcimia przewieźli go już agenci do Hamburga, a stamtąd przez morze do Ameryki, do tego rajy, według jego rozumowania.

*

*

*

Kiedy Jano o tem wszystkim rozmyślał, ukazała się na progu chaty Jewka, kobieta czerstwa jeszcze, chociaż już ją pięćdziesiątka przyciskała do ziemi. Przysłoniła oczy dłonią, bo słońce było wprost naprzeciwko, i długo rozglądała się dookoła chaty, aż wreszcie zobaczyła pod gruszą siedzącego męża.



PAWEŁ STALMACH,

budzielnik uświadczenia narodowego na Śląsku.

— A pójdźże już do izby, — zawołała — bo słońce zachodzi a rosa zimna zaczyna się spuszczać, możesz się przechłódnąć, a wiesz, żeś stary i chorobliwy.

— Góralom nic chłód i zimno nie zaszkodzi — odpowiedział jej, — chodź ty raczej tutaj, bo mi tak dobrze, a dawne czasy się mi wspominają — i przeciągnął się wygodnie.

— Po chwili wróciła Jewka, odziana grubą, białą płachtą i osiadła obok męża, a Jano zaraz zaczął jej opowiadać:

— Wiesz, Jewko, śniło mi się o Ameryce, ale to słowo w słowo, jak to było przed laty. Kiedy wyjechaliśmy z Hamburga, nagle porwała mię tęsknota za ziemię, a zwłaszcza za naszymi górami, bo tam, gdzie się tylko popatrzyasz, sama woda, sama woda i niebo... A do tego, do tej tęsknicy, przyszła jeszcze na mnie morską choroba, w głowie miałem jakby kto wielki wiatr puścił na wiatrak, a w żołądku jakby kto znów młyńskim kołem obracał, a to przez 10 dni; ani się nie było gdzie położyć, bo taki nas był natłok, a taki zaduch, a taki upał, że gdym sobie wspomniał na nasze górskie powietrze, to aż się mi płakać chciało, zdawało mi się, że gdybym mógł chociaż raz chlipnąć z niego, to byłbym zaraz zdrowy. Dziesiątego dnia przyszedł do mnie ksiądz z Panem Jezusem i wtedy po spowiedzi uczyniłem sobie ślub, że jeżeli wyzdrowieję i wrócę do kraju, to już nigdy mojej chałupy i roli nie opuszczę... Przed samą zaś Ameryką dopadła nas burza; wszyscyśmy byli na śmierć przygotowani. Nasze burze to nic, ale tam jak zacnie grzmieć i bić jeden piorun po drugim, to włosy na głowie wstawają, a chociaż oczy i uszy zatykasz, to tylko huczy i huczy, a oślep to i przez palce przedziera się do oczu, bo niebo całe w ogniu, a sypie się ten ogień jak grad, gdy z wichrem leci, a może to i to tak wysoko, jak na kalenice, okrętem rzuca i ryczy, jakby stado krów głodnych...

— O Jezu, to musiało być straszne — zawołała strwożona Jewka i z bojaźnią przysunęła się do męża.

— Nie bój się, — uspakajał ją — morze jest straszne, kiedy burza szaleje i niejedni ludzie poszli na jego dno, ale Pan Bóg jest mocniejszy i On nas wyratował i Jemu zawdzięczasz, że dzisiaj siedzę obok ciebie.

Jewka odetchnęła tylko głęboko i popatrzyła z podziwem na męża, jakby chciała powiedzieć: i tyś to wszystko przeżył, wszystko wytrzymał?...

— I teraz widzisz, choćby mi całe góry złota za morzami obiecywali, tobym się nie ruszył. Nie uwierzysz, jak mi było na sercu, gdym znowu stanął po ośmiu latach przed izbą, na ojcowskiej roli. Chciało się mi płakać, bo mię coś z radości za serce ścisnęło, byłbym skakał jak dziecko, jak ten Burek, który, gdy mię zobaczył, porwał się tak mocno od budy, aż łańcuch pękł... i nie czekał i skomleć nie mógł, tylko do nóg mi się rzucał kilka razy,

skakał i ręce me lizał... Ja wtedy rozplakałem się na dobre, pisko jakby najdroższą mi osobę przycisnąłem do piersi i jak długi rzuciłem się na ziemię i całowałem tę naszą kochaną ziemię, cał-



Ks. JÓZEF LONDZIN,
prezydent Rady Narodowej, poseł na sejm warszawski,
długoletni niestrudzony obrońca ludu polskiego na Śląsku.

wałem ją, jako syn marnotrawny, wracający po wielu latach znowu do niej; i zaraz mi było lżej na sercu... Musiałem pójść do wojska, bom się sam zgłosił, by mię później nie ukarali, ale już

mię nie było tak tęskno, bom wiedział, że za parę miesięcy wrócę a nadto byłem w pobliżu, bo w Cieszynie. A gdym wrócił od wojska, to wiesz już o wszystkim, poszliśmy na naukę, a po wypowiedziach na ślub...

— Nie poszło to tak gładko i prędko — przerwała mu Jewka — bo mój nieboszczyk ojciec, Boże daj mu niebo, powiadali: wybij sobie dzieucho z głowy tego Amerykana, bo chociaż chałupę i płoty poprawił, choć dokupił kawałek roli i choć mu jeszcze parę stówek zostało, zawsze to Amerykan, nie wysiedzi w domu, ale jak cygan po roku, po dwóch znów ucieknie a ty zostaniesz sama jak palec, albo też z dzieckiem, a potem to ojciec dajcie, ojciec pomóżcie mi, ojciec przydźcie dach poprawić, płoty połatać i wszystko inne, a Amerykan będzie za morzem używał, a ty ojciec rób i haruj, aż ci język będzie wyłaził... ja chcę zięcia, któryby objął mój grunt, bym na stare roki z matką mógł sobie wypocząć, bom już dosyć się napracowałam. A matka i ja zaczęłyśmy im powtarzać, żeś ty ślubował, że już za morze nie pojedziesz, żeś to obiecał w chorobie Panu Bogu, a oni na to: obiecał, ale czy dotrzyma, czy spełni; takimu światowcowi wierzyć nie można. Tak szło przez parę dni, aż wreszcie ojciec się zgodzili i powiedzieli: pamiętaj, abyś z płaczem do mnie kiedy nie przyszła, nie polutując... I było weselisko, jakiego od dawna nie pamiętali ludzie...

I obaj przycichli i mile wspominali sobie dzień ślubu i pierwsze lata szczęścia i radosnego pożycia małżeńskiego.

Wreszcie Jano przerwał milczenie:

— I od dnia ślubu już trzydzieści lat minęło, już było srebrne wesele, a jeżeli Pan Bóg pozwoli, to będzie i złote... Chciałabyś? — zapytał Jano, trącając w bok żonę.

— A czemużby nie?... jabym się i na dyamentowe zgodziła — odparła Jewka.

— To wierzę; ale gdyby Bóg nam tylko sił udzielił, — do rzucił Jano, — bo bez siły jak małe dziecko, zdany na łaskę i samowolę dzieci, nie chciałbym żyć, by mi może miszkę pod brodę podstawiano i do ust na łyżce podawano; to raczej zaraz umrzeć...

— Nie urągaj Panu Bogu, napominała go żona, jak Pan Bóg będzie chciał, tak się też stanie, a nie jakbyśmy my sobie życzyli. A czy ci z wola Bożą było dotychczas źle, czy ci się krzywda działa?...

— Tego nie mogę powiedzieć, Bóg nam dotychczas błogosławił, — odparł Jano, — dał nam dwoje dobrych dzieci...

— A nie mogło być więcej? — przerwała mu Jewka, — czy to także była wola Boża?..

— Daj spokój, — odpowiedział trochę dotknięty mąż. — nie budź robaka sumienia, który się już uspokoił. To skutki mego pobytu w Ameryce... dużo czytałem i słyszałem o tem; tam tak żyją i ja się też zwieść dałem, ale już za to Pana Boga przeprosiłem i odpokutowałem i myślę, że Bóg już mi darował te występki...

— Dałby Bóg, żeby nas jeszcze za to co złego nie spotkało. — dodała żona.

I ucichli obydwoj, zajęci myślami, które jak te chmury na niebie, to czarne, to białe, to przenikliwe, to znowu ciężkie jak ołów, przelatywały w ich duszy, a zachodzące słońce zorzą, jakby łuną oblewało góry i doliny i odbijało się, czerwone jakby ogień w małych okienkach górskich chatek. Wspaniały to był widok: kto nie widział w górach zachodzącego słońca w późnej jesieni, gdy przymrózki pozłociły i na czerwono w różnych odcieniach pomalowały dęby i inne liściaste drzewa, a słońce jakby złotą, purpurową przedzą wszystko to zasnuwa, kto nie widział zachodu słońca w naszych górach, ten nie widział prawdziwej pięknej wszechmocy Bożej, która się w stworzeniach odzwierciedla.

Ten wspaniały widok zachodzącego słońca przerwał kłębo myśli małżonkom.

— Popatrz, Jewko, — odezwał się Jano, jak pięknie słońce zachodzi; cała Młodagóra stoi jakby w ogniu; przypatrz się lepiej, z boku wygląda góra jakby ogromna głowa, te czerwone dęby to jakby oczy, na wierzchu drzewa, to włosy, a wyrąb u dołu to jakby usta pełne zębów... — czy widzisz?

Ale Jewka zatrzęsała się i przeżegnała.

— Czy nie widzisz, — zawołała — cała góra wygląda jak głowa szatana z różkami; z paszczy bucha mu ogień, a zębska wyszczerza w śmiechu, odchodźmy prędko, bo się mi jeszcze może w nocy pokazać.

Zerwała się prędko ze ziemi, jeszcze raz przeżegnała się zatrwożona i pobiegła prędko do izby, a za nią Jano. W progu obejrzel się jeszcze i rzeczywiście góra cała wyglądała jak potężna głowa jakiegoś potwora. Jano splunął poza próg i ze słowami: na psa urok, wszedł za żoną do izby.

* * *

Od opisaney chwili upływał prawie rok.

Jano siedział sam przed sienią i wypoczywał po całodzienney pracy. Do chaty nie chce jeszcze wchodzić, bo tam pracy i gonienia dużo, a krzyku jeszcze więcej; trwa to już trzeci dzień.

Jutro wesele jego córki Ewki, a więc kucharki i kumoszki obsypane mąką, w pokrwawionych zapaskach gonią to z kuchni do piekarszczoka, to z powrotem, a głosy mieszane: — dołoż jeszcze drzewa, niech się piec dobrze wypali, — a słyszysz: — ciasto się przeruszało i już leci... — kocur chwyta kurzę... psia... — a bij go, — kumoszko, nleka — a głuchaś, — wody! — i t. d... człowiekby rzeczywiście wśród takiego hałasu osiwiiał i ogłuchł, więc Jano uciekł przed sieniem. Uczynił to jeszcze z tego powodu, by pierwszy mógł powitać Jurka, który miał dziś od wojska przyjechać na wesele siostry, a późniejby po dwóch lub trzech miesiącach sam stanął przed ołtarzem...

Jano w ostatnich czasach aż odmłodniał; nie skarżył się na ból między łopatkami i prostował się, jakby mu jakie dwadzieścia lat z plecy spadło. Dopiął celu: Ewka bierze syna wójta za żonę, a Jurek, jak się już z wójtem umówili, Hankę wójtową, tak więc dwa największe majątki w gminie dostaną się znów dwom rodzinom i pozostaną niepodzielone. Aż rósł jakby na drożdżach, kiedy pomyślał, że Ewka będzie wkrótce wójciną, a może i Jurek z czasem pierwszym radnim, a może i wójtem; ręce z radości zacierał i szeptał: a czy nie miałem słuszności, gdym mówił: dwoje dzieci wystarczy... a Jewka tylko... hój się Boga, On nas ukarze... teraz to się cieszy razem ze mną... co głowa to rozum, a Ameryka — zawsze czegoś mądrego nauczy.

Jeszcze się cieszył i poił temi myślami, aż tu w pobliżu odezwały się głosy pomieszane, jakieś krzykliwe i gorączkowe; zerwał się z ławy, bo myślał, że to może jego Jurek z kimś się kłóci, a tu już wójt i dwaj radni stanęli przed nim i zapominając o pozdrowieniu, wszyscy razem zawołali:

— Sąsiedzi, źle — wojna!

Jano jakby skamieniał. Słyszał on i czytał o tem, że się stosunki bardzo zaostrzyły od zajścia w Sarajewie, ale myślał sobie, że to da się jakoś bez wojny załatwić, a gazety też pisały, że może da się całą sprawę bez wojny przeprowadzić, a tu wojna! Te myśli jedna po drugiej przychodziły mu do głowy, więc chwilę stał bez słowa, ale myśl, że może sąsiedzi przed weselem przyszli, by się pośmiać i że może chcą go za nos wodzić, rzekł:

— A nie żartowalibyście, by nas Bóg w istocie wojną nie ukarał.

— Sąsiedzie, tu macie czarne na białem — odrzekł wójt i wy dobył z kieszeni długi zadrukowany papier i podał Janowi... Jano rzucił okiem i przy słabem świetle, jakie ze sieni wychodziło, odczytał grubemi literami pierwsze słowa: Ogólna mobilizacja. Jako wojskowy wiedział co to znaczy. Przetarł oczy ręką,



Wielki wiec na rynku cieszyńskim dnia 27. października 1918. r.

jakby się chciał przekonać, czy się nie myli, ale na papierze nie zmieniły się drukowane słowa...

— A tośmy się doczekali, — rzekł z westchnieniem, oddając papier wójtowi.

— Janek mój jutro zaraz po ślubie musi odjechać, powiedzcie o tem Ewce... albo raczej nie mówcie nic, niech się przed czasem nie lęka..., zostańcie z Bogiem — zawołał z uśmiechem wójt — musimy po gminie rozesać ludzi z tą nowiną...

— Zostańcie z Bogiem, — jak echo odpowiedział Jano i nie usiadł, ale jakby nogi mu zdrewniały opadł na ławkę. Chwilę siedział, bo go siły i pamięć zupełnie opuściły, potem zerwał się i wbiegł do kuchni ze słowami na ustach:

— Baby, cicho, bo wojna — stanął w progu. Z kuchni odpowiedział mu głośny śmiech, ale kiedy Jewka spojrzała na twarz męża zmienioną i prawie bez krwi, upuściła misę z ciastem; z misy zostało parę skorup, a ciasto rozlało się po podłodze...

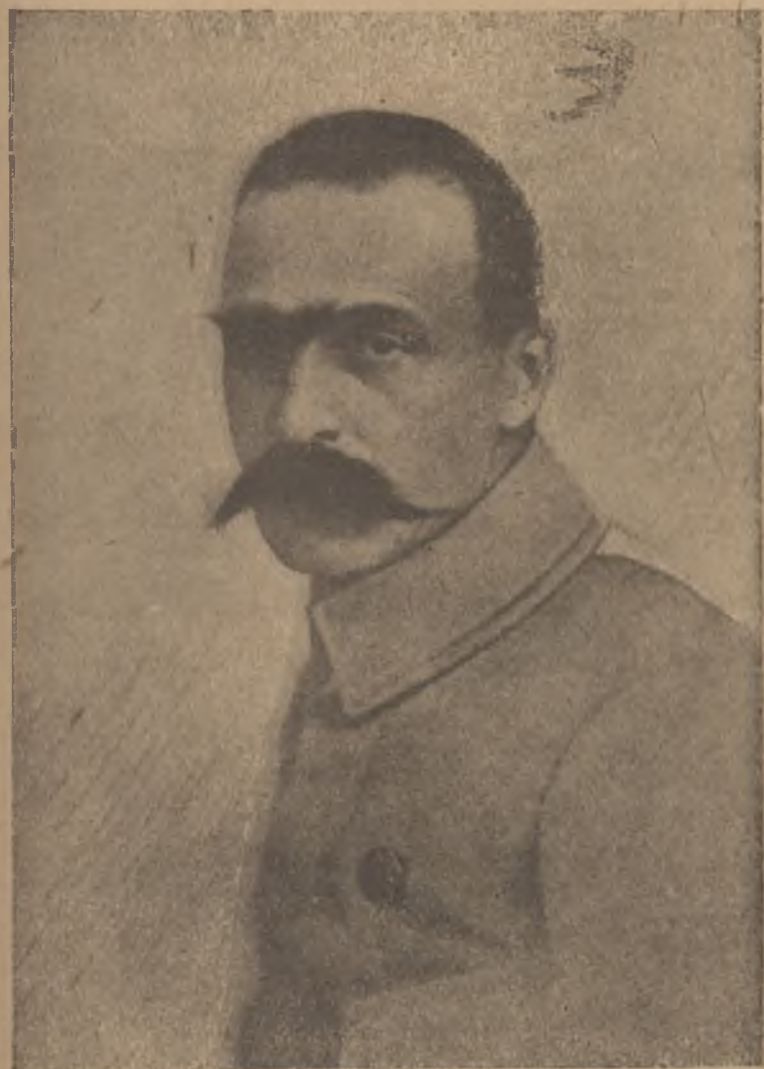
Wszelki duch Pana Boga chwali...

— Jano, co tobie jest? — zawołała żona.

— Wojna! — powtórzył Jano.

W kuchni jakby kto wszystkim usta pozaszywał, nastąpiła zupełna cisza... Słychać tylko przyspieszone oddechy... O dla Boga... odezwał się najpierw głos najstarszej kucharki; zaraz jej inne głosy zawtórowały: dla Boga, wojna! I niktby nie był wstanie poznać tej pierwszej rozbawionej, śmiejącej się, hałasującej a nawet i poklinającej gromadki kumoszek. Cicha jakaś trwoga zapanowała w kuchni, domawiano się prawie szeptem, a to jedna, to druga ocierała sobie zapłakane oczy zamączonymi zapaskami.

Wesele Janka wójtowego z Ewką nie było huczne, jak się zapowiadało. Janek zaraz po ślubie musiał odjeżdżać, więc goście zaraz się też porozchodzili. Jurek nie przyjechał na wesele, bo nikogo już nie puszczano. Wypadki następowały jeden po drugim, co dalszy to straszniejszy — cały świat stanął do walki... Do wsi przyszedł pierwsze wiadomości: Janek od wójtów zabity a pięciu rannych... Wójt rwał sobie włosy z głowy, a Ewka odchodziła od zmysłów... Jano chodził jakby struty; do nikogo słowa nie przemówił; gmach, który sobie w głowie wybudował, zaczął się walić... gryzł się ciągle, a ponieważ pracy było bardzo dużo a parobka powołano do wojska, został sam do wszystkiego i zaczął powoli opadać na siłach. Kiedy raz wieczorem wrócił później z pola, zaczął jakoś dziwnie pokaszliwać i stękać... Położył się zaraz do łoża, by już więcej nie wstać. Rano posłano po księdza i doktora. Po pojednaniu się z Bogiem, zanim lekarz przyjechał, już pożegnał się z tym światem. Żałoba i smutek



Naczelnik państwa Józef Piłsudski.

zapanowała w rodzinie; do całej pracy pozostały tylko Ewka i matka, a tu praca gonila jedna druga, wynajac kogos do pomocy nie bylo mozna, bo wszedzie z powodu ciaglego powolywania do wojska brakowalo rak do pracy. Wojt, chociaz sam mial pracu w polu i w domu az po uszy, bo takze sam pozostal, pomagat synowej swej i jej matce i tak z bieda uporaly sie ze wszystkim. Ale Ewka przypalila to przepracowanie sie zdrowiem, lekarz oswiadczył, ze jest wielkie niebezpieczenstwo, bo suchoty jej groza... Matka nie chciala o tem slyszec; zbierala co tylko mogla: zieliny rozne, lekarstwa, co kto radzil, nawet i prozby zajeczego i psiego sadla wlewala corce do jadla i napojow. Darenne trudy: w polowie listopada odprowadzila corke do grobu i zostala w domu sama jedna.

Odtad jedyną jej nadzieją był syn Jerzy. Pisywał prawie co drugi dzień, by zmartwioną matkę pocieszyć, a ona starała się modlitwą wynagrodzić jego dobre serce. Codziennie śpieszyła do kościołka i została godzinę i dłużej po Mszy świętej, polecając miłosierdziu Bożemu swe dziecko; w modlitwie szukała pociechy i znalazła ją. Przeboleła straty i prawie że uspokojona oddawała się codziennej pracy. Po południu, gdy poczta miała nadejść, czekała z niecierpliwością wiadomości od syna. Jaka radość malowała się na jej troskami pooranem obliczu, gdy nadeszła wiadomość, że żyje i dobrze się mu powodzi; jakby jaką świętość ścisnęła wówczas kartkę w rękę i gdyby nie ludzie, byłaby ją całowała z radości; ale gdy dwa, trzy i więcej dni nie nadchodziła żadna wiadomość, wychudła jej twarz, wydłużała się z trwogi, a usta jej kurczowo zaciśnięte drgały z bólesci... Cierpiała jako męczennica, nie katusze ciała, ale boleśniesz nie-raz katusze serca.

Było to w połowie wiosny. Jewka już od dwóch tygodni nie otrzymała od syna wiadomości; pożółkła prawie ze zmartwienia i przygarbiła się do ziemi; ludzie pocieszali ją jak mogli, ale cóż pomoże pocieszenie wobec przeczuc serca macierzyńskiego. Pod koniec maja nadeszła kartka, pisana do niej, ale nie ręką syna: donoszą jej ze szpitala, że syn ciężko ranny, ale jest jeszcze nadzieja utrzymania go przy życiu. Odtąd zdwoiła się jej gorliwość w modlitwie i zdawało się, że chce modlitwami zdrowie syna wyprosić; w swej żarliwości zapominała po części o gospodarstwie. Tak upłynęły jej dwa tygodnie między obawą a nadzieją.

12. maja otrzymała ze szpitala garnizonowego w Krakowie kartkę z krótkim zawiadomieniem, że syn jej, zaopatrzonej św.



Prezydent ministrów Ignacy Józef Paderewski.

Sakramentami, odszedł z tego świata, a ostatniem jego słowem było jej imię...

Wiadomość ta nadeszła znieca i wszystkim zdawało się, że ona przerwie nić życia biednej matki. Jewka była właśnie zajęta przy gospodarstwie, gdy jej kartkę wręczono; rzuciła okiem i zdaje się zaraz odgadła tajemnicę, bo pobiegła do izby i przy oknie, wsparta o mur, sylabizowała jedną literę po drugiej; po pierwszym przeczytaniu nie wiedziała, o co tu właśnie chodzi; dopiero po drugim czytaniu zrozumiała treść kartki. Ręce jej zatrzęśły się, kartka wyleciała na ziemię, a ona powtarzając: — o mnie myślał, mnie przy śmierci wołał, mój synaczek jedyny, rzuciła się na kolana i długo, długo wśród łkania się modliła...

Wreszcie podniosła oczy na krzyż, wiszący naprzeciwko niej i z bólem zawołała: Boże, chcieliśmy Ci dzieci liczyć, a Tyś nam je policzył... Bądź woła Twoja za winy męża i moje... i znów upadła na twarz na ziemię i modliła się żarliwie; poczem wstała i ukojona modlitwą, zabrała się do pracy; wśród pracy i modlitwy starała się zapomnieć o ciosach i Bóg jej zesłał ukojenie.

Do dzisiaj widać ją codziennie śpieszącą do kościółka, by się posilić modlitwą i Ciałem Pańskim.



Przyjdź Królestwo Twoje!

*Ogromnym płaczem ziemia rozetkana
Nad swoją nędzą straszliwą się żali,
Targa się, szarpie ze szponów szatana,
Raniących dusze coraz to zuchwalej...*

»O Panie, Panie, przyjdź Królestwo Twoje!«

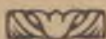
*Religia, Cnota, Pobożność i Wiara
Prześladowane chowają się w ciszy...
Jednostka każda o siebie się stara,
A nędzy bliźnich nie widzi, nie słyszy...
Lud wierny w Bogu widzi swą ostoję...*

»O Panie, Panie, przyjdź Królestwo Twoje!«

Chociaż się gromy na ród ludzki walą,
Choć świat się stacza do zguby otchłani,
Choć złe uderza wciąż fala za falą,
Dusze wierzące dążą ku przystani
I proszą, w niebo wznosząc ręce swoje:
»O Panie, Panie, przyjdź Królestwo Twoje!«

Nie zgasi gwiazdy na niebie uczony,
Nie wstrzyma czasu żaden człek na świecie,
Nikt nie odchyli wszechbytu zasłony
I nikt nie wskrześli was, kiedy pomrzecie...
Jeden Bóg tylko uczynić to może,
Bo wszechświat to twór i Królestwo Boże...

Więc czemuż cierpieć w zwątpienia udreće,
Albo bluźnierstwem kalać swoje wargi?
Wszak są nad nami dobrotliwe ręce,
Jest Bóg, co słyszy wszystkie nasze skargi
I jako Ojciec dzieciom dopomoże
Wejść tam, gdzie szczęście, gdzie Królestwo Boże.



Szpieg.

(Zdarzenie prawdziwe z wojny.)

Dziwna rzecz, jak ci Moskale od jakiegoś czasu wspaniale strzelają. Chyba sam Lucyfer z piekła im pomaga — woła pułkownik, komendant odcinka, bronionego od szeregu dni przed zaciętymi atakami nieprzyjaciela. Ile razy zmienimy pozycję, ile razy się okopimy — odrazu w nas biją bez miłosierdzia, jakby widzieli wszystkie nasze ruchy, jakby wiedzieli o najdrobniejszych zmianach. Tyle już strat w ludziach! A przytem ta wieczna niepewność — można doprawdy ze skóry wyskoczyć. Co to może być?

To nic innego, panie pułkowniku, tylko zdrada — odzywa się adjutant, młody, energiczny porucznik, pochylony właśnie nad jakimś planem sytuacyjnym, studyjąc go zawzięcie. To zdrada — nic innego.

— Ale skądże zdrada? Ciągłe widzicie wszędzie zdradę. Zdrada i zdrada. Mają wspaniałą artylerję japońską, stąd ta dokładność niezwykła w strzelaniu. Przecie tu w tych warunkach zdrada niemożliwa. Ktoby mógł nieprzyjacielowi donosić? Chyba nie ci chłopci tutejsi, których trochę we wsi pozostało. Na to trzeba fachowca sprytnego, wyszkolonego. To nieprawdopodobne. Nie chce mi się w to wierzyć.

— A ja jednak mimo wszystko jestem przekonany, że to nie Japończycy, nie ich działa dobre, ale że to zdrada. Ja zresztą dojdę prawdy za wszelką cenę. Znajdę sprawcę.

Pułkownik zmęczony całonocną pracą, czuwaniem i komendą wyczerpującą, machnął tylko z niedowierzaniem ręką. Znużony był, nie chciał się sprzeczać. Zresztą kto wie, czy porucznik, choć młodszy, nie ma racji. Są rzeczy, o których się filozofom nie śniło. Woli się położyć po nieprzespanej nocy, niż filozofować.

W każdym razie coś nie w porządku, wartałoby to zbadać.

— Już ja porządek zrobię — mówi adjutant. — Najdalej za dwa dni będę miał szpiega.

— No, no, nie tak znowu prędko! Co nagle to po dyable. Nie zrób tylko jakiego głupstwa, byśmy nie powiesili kogo niewinnie. Tego nie chcę mieć na sumieniu.

— Eh, cóż znowu! Proszę polegać na mnie! Krzywdy nie zrobię nikomu. Zresztą to wojna — cóż robić! Wojna tyle złego ze sobą przynosi. To straszne, ale cóż my na to poradzimy? Zresztą dotąd chwała Bogu nie powiesiliśmy nikogo.

— No a dziś masz jakoś wielką chęć — co ci się stało?

— Kiedy, bo to strzelanie do nas takie dokładne nie jest bez ale. Ktoś temu winien. To nie jest tylko przypadek. Naszym obowiązkiem jest wysledzić przyczynę.

— No, dobrze, dobrze! Rób co chcesz! — Temi słowy odprawił pułkownik swego adjutanta.

Wszystko przemawiało za tem, że ktoś w planie obronnym brzdzi. Trudna była sytuacja. Pozycja, ostrzeliwana zwykle nocą, poniosła już dotkliwe straty. A nieprzyjaciel jakby się uwziął właśnie na ten jeden odcinek. Jeżeli go przełamie, opakuje i zmusi do cofnięcia się, będzie źle, bo cały front się wygnie a Moskal zagrozi sąsiednim odcinkom z flanki.

* * *

Cały tydzień minął naogół spokojnie. O ile spokojem można nazwać huk dział, nadlatujący z oddali i naprężenie nerwów, wy czekiwanie rozkazów — może na otwarciu regularnego ognia



General Józef Haller.

huraganowego na okopy nieprzyjacielskie w oddaleniu kilkadziesiątu metrów, — o ile spokojem można nazwać świadomość, że tam z naprzeciwka dziesiątki paszcz armatnich, tysiące pocisków skoncentrowano i ustawiono tylko na to, by siać śmierć i zniszczenie, by pozbawiać życia tysiące ludzi.

Przez szczątki szyb zabrudzonych, jakie się ostały w tej marnej chałupie, w której znalazł przytułek i kwaterę komendant odcinka, przedostaje się szczuple światło, oświetlające rysy pułkownika.

Twarz opalona od słońca, wichrów i niewygód wojennych, pełna jednak energii, życia i dobroci. Włosy już posiwiiałe. Dla żołnierzy trochę szorstki, wymagający, ale mimo to kochany przez nich dla swej sprawiedliwości i dobroci. Dbą o żołnierzy jak o dzieci. Każdego zna po imieniu, z każdym rozmawia, dla każdego ma dobre słowo. To też niemile dotknęła go wzmianka o szpiegu, a jeszcze mniej perspektywa wieszania kogoś. Jednak możliwość zdrady jakiejś była prawdopodobną wobec doświadczeń i faktów ostatnich dni. Ale w duchu, tam w głębi serca, nie życzył sobie, by adjutant przywiódł mu kogoś, by potem na niego trzeba było wydawać wyrok śmierci, choćby nawet po udowodnieniu winy. Czuł do tego wstręt i odrazę. Zawsze to o życie ludzkie chodzi a pomyłki w wyrokach doraźnych, w potępianiu takie strasznie łatwe!

Tymczasem adjutant działał na swoją rękę. — Obchodził stanowiska jedno za drugim, przyglądał się, badał dokładnie, wypytywał o różne szczegóły, potem długo patrzył na wszystkie strony przez szkła, notując w myśli każdy szczegół, czasami zapisując w notesie to lub owo spostrzeżenie. Pomimo szczegółowych badań nie zauważył nic podejrzanego.

Poszedł potem do wsi. Tam większość mieszkańców pocięła; część wygnano, pozostała tylko garstka. Chałupy poniszczone mocno, ograbione, obrabowane ze wszystkiego. Zresztą trudno w nich przebywać, bo wieś znajdowała się dłuższy czas w obrębie ognia. Mieszkaniem były tym, co pozostali, kryjówki wykopane w ziemi lub piwnice. Podczas ostrzeliwania, gdy armaty grały, wieś jakby wymierała. Wszystko co żyło, chowało się w ziemi, jak na komendę. Dopiero gdy ustawał i przycichał ryk dział, skowyt pocisków, deszcz kul, wychylano się z kryjówek niewygodnych powoli, nieśmiało z obawy przed jaką ostatnią zabłąkaną kulą lub pociskiem.

Na pytania i badania porucznika niewiele potrafili chłopi odpowiedzieć. Nikt o niczem nie wiedział. Nikomu zresztą nic podobnego do głowy nie przyszło. Bogu ducha winni cieszyli

się, że jeszcze żyją, skądże mieliby jeszcze znosić się z nieprzyjacielem! Właściwie nawet nie bardzo rozumieli, o co porucznikowi chodzi. — Nikt nie zdołał zaspokoić wątpliwości energicznego oficera. Zły i zmęczony adjutant wydał tylko szczegółowe instrukcje i wskazówki dla swych posterunków, poczem wrócił do domu, nie dając wszakże za wygraną.

* * *

Dzień był pochmurny, dżdżysty. Taki nad wyraz smutny, załawiony, jesienny, co to ani jeden promyk słoneczny go nie rozjaśni, bo słońce nie jest w stanie przedrzeć się przez gęstą mgłę wiszącą ciężkim całunem nad ziemią. Mrok w taki dzień zapada rychło, by sprowadzić noc, rozjaśnianą luną palących się naokoło wsi, siół, zagród chłopskich, dworów szlacheckich — noc, przerywaną głuchem dudnieniem ciągle grających armat.

Pułkownik znowu sam w kancelaryi, bo adjutant wyszedł. Praca, ruch coraz większy. Przychodzą i odchodzą meldunkowi, raportują, otrzymują rozkazy. Telefon ciągle w ruchu. Komentant nie puszcza wprost słuchawki z ręki. Wydaje szczegółowe wskazówki w sprawie spodziewanego znowu w nocy silnego ataku.

Wieczór długi jak wieczność upływa żołwim krokiem. Naprężenie koło godziny ósmej rośnie. Wszystko przemawia za tem, że atak przygotowany przez bijącą już artylerję nieprzyjacielską niechybnie tej nocy nastąpi. Raz wraz przychodzą krótkie sprawozdania o położeniu, o rozwijaniu działalności w poszczególnych bateriach i batalionach. Wśród gorączkowej pracy zapomina pułkownik o podejrzeniach i przypuszczeniach adjutanta co do rzekomej zdrady. Zajęty postępem i rozwojem ataku, jest przy tym aparacie telefonicznym i mapie na stole — sprężyną, duszą, poruszającą olbrzymimi maszynami śmiercionośnymi, niszczącymi wszystko, jest tą siłą tytaniczną, kierującą tysiącami karabinów, obejmowanych w tej chwili mocną ręką żołnierza, oddanego ślepo, z zaufaniem swemu dowódcy. Równocześnie oficer na stanowisku obserwacyjnym donosi co chwilę o stanie i rozwoju walki. W całą tę wciąż rosnącą straszną dysharmonię huków i grzmotów wplata się coraz więcej armat różnego kalibru i zlewa w jeden piekielny huk żywiołowy. Ziemia dudni, jęczy, wstrząsa się, łoskot rośnie z godziny na godzinę a z nim rozgorączkowanie, roznamiętnienie żołnierzy, co niewidoczni w okopach w cichości, w skupieniu pełnią swą straszną służbę jak auto-



Rada Narodowa w Cieszynie (obok starożytna kaplica na zamku) 1919. r.

maty, bez serc, bez duszy, bez myśli, wsłuchani w słowa komendy, która kieruje każdym ich ruchem i zwrotem.

Dziwna rzecz! — Tam od strony wsi widać jakieś jasne, rażące wprost swą jaskrawością światło. Coś niezwykłego.

Już od godziny zawsze tam w górze na temsamem miejscu. Gdzieś w stronie kościoła we wsi, jakby na wieży.

Przecież to niemożliwe! Skądby się na wieży światło wzięło? A może to jaki umówiony znak szpiegowski? Może zdrada jakaś?

Trzeba zbadać koniecznie, sprawdzić.

Adjutant, któremu odrazu zwrócono uwagę na ten punkt zagadkowy, bierze ze sobą patrol i idzie śpiesznie w kierunku światła, obawiając się, by światło nagle nie zniknęło, ślad się nie zatarł. To chyba to, czego szuka.

Światło ciągle równo płonie, niewzruszone, spokojne.

Patrol, prowadzona przez porucznika, nie traci czasu. Idzie wśród mgły, ciemności po omacku, nie zważając na nic. Światło coraz bliżej. Niedługo do celu dotrą.

Mgła nie pozwala obliczyć odległości. Niewiadomo, czy daleko jeszcze, czy blisko. Ale oto już wieś — pierwsze chaty, zagrody, opłotki.

A światło tajemnicze ciągle równo, jasno, na temsamem miejscu płonie.

Teraz już niema złudzeń żadnych. To na wieży kościelnej! Wprost nieprawdopodobne. Zdrada z wieży kościoła! Nie chce się wierzyć, a jednak światło tam płonie. To znak umówiony przez zdrajcę, przez szpiega. To światło wskazuje nieprzyjacielowi kierunek, w którym ma strzelać, atakować. To światło powoduje widocznie od szeregu dni wszystkie straty i ową niesłychaną dokładność w strzelaniu przez wroga.

Tak, to niewątpliwie wszystkiemu to jaskrawe światło na wieży kościelnej winno.

Patrol przyśpiesza kroków. Biegnie chyłkiem. Cel już wyraźny i pewny. Ogień jednak może jeszcze zniknąć, szpieg uciec, obława się nie udać.

Ale szpieg nie ucieka. Światło wciąż taksamo jasno świeci, płonie. —

Cicho, bez hałasu, szmeru zakrada się patrol, na jej czele odważny adjunkt na schody, na chór, potem na wieżę. Tam prześwieca już blask widocznie od lampy. Tam musi być i ten, co szpieguje, zdradza i pomaga nieprzyjacielowi.

Tuż przed wejściem w dzwonnice, stają wszyscy. Broń do ręki, karabiny nabite. Adjutant naciska mocno na drzwi. Wcale

nie zamknięte. Rozwierają się bez trudu na oścież. Z rewolwerem w rękę wchodzi porucznik, za nim żołnierze jego, patrol.

A tam cichutko, spokojnie. Nikt im nie broni wstępu. Na oknie wieży, gdzie dzwony wiszą — duża lampa acetylowa, rzucająca jaskrawe, rażące światło z tej wysokości w dal, w ciemną noc — a koło okna, oparty o framugę — ksiądz! Ksiądz młody, blady, w sułanie. Stoi bez ruchu z założonymi rękoma, zaparty w płomień jak w objawienie, cud, jakby się doń modlił.

Drgnął tylko, posłyszawszy kroki zbliżających się, ale jakoś wcale nie zdziwił się ani przeraził, jakby uważał to za naturalne, że do niego przychodzą.

— Co tu ksiądz robi?

— Lampy pilnuję — odpowiada spokojnie.

— Naco to światło?

— Ja nie wiem.

— Jako nie wiem? Kto kazał księdzu stać tu w nocy i świecić?

— Ja nie wiem. Jakiś podoficer był u mnie pod wieczór i surowo mi nakazał. Dlatego świecę.

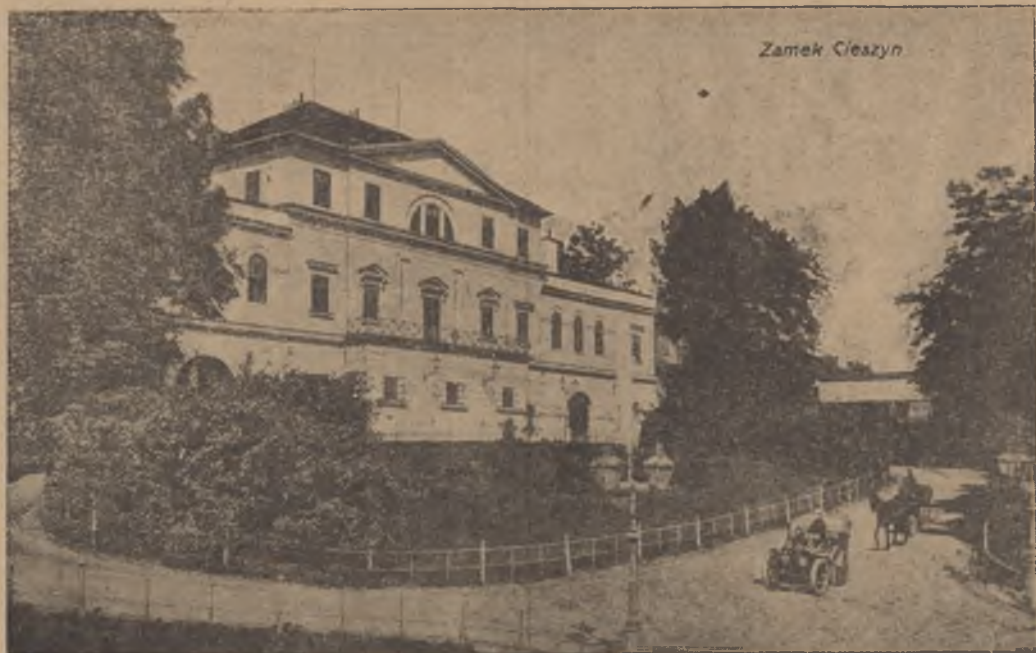
— Co za podoficer? To tylko wykręt ← nic innego. Ksiądz jest zdrajcą, szpiegiem. Aresztuję księdza!

Skinął na żołnierzy. Zdjęli lampę z okna, poczem nasadzili bagnety na karabiny, otoczyli księdza, zabrali między siebie i kazali iść. Pozwolono mu chwilę pomodlić się przed Sanctissimum, ale nie długo. To szpieg, a dla szpiegów, choćby to i ksiądz był, niema pardonu ani żadnych względów. A tu przecie nawet wątpliwości być nie może, że zawinił, że to zdrajca podły, szpieg, konfident nieprzyjaciela. Przecie złapano go na gorącym uczynku. Fakta mówią za siebie a wszystkie świadczą przeciw księdzu. Sam zaniósł lampę na wieżę, sam zapalił, sam jej pilnował! Hańba, wstyd i to ksiądz!

Szybko zdąża patrol z niebywałą zdobyczą w kierunku mieszkania komendanta.

Ciemno, błotno i ślisko. Wszędzie naokoło dudni coraz głośniejszy huk dziesiątek armat, wycie i gwizd złowrogi pękających szrapneli i granatów. Zdaje się mocy piekielne wystąpiły do walki. W powietrzu nic, tylko skowyt straszny, świst, ryk olbrzymich gardzieli armatnich.

Straszna noc się znowu zapowiada. Może stanowcze zmaganie się. Może dziś rozstrzygnie ta rozwijająca się tam bitwa o posiadaniu całego przyczółka. Ktoś kogoś przełamie. Ale kto kogo? Jedyny Bóg to wie.



Zamek w Cieszynie, siedziba Rady Narodowej.

Można sobie wyobrazić zdziwienie pułkownika, wprost przerażenie, kiedy patrol wprowadził mu księdza-szpiega do kancelaryi i gdy adjutant z pewną satysfakcją zameldował, o co chodzi, co widział, jak zdybał księdza na dawaniu znaków świetlnych nieprzyjacielowi.

Nie, to nie może być! To chyba jakaś pomyłka. To niemożliwe! Przecież pułkownik sam tego księdza znał od kilku tygodni. Nieraz go spotykał, pobieżnie widywał i zawsze ksiądz robił na nim jak najlepsze wrażenie. To nieprawda! To jakaś straszna pomyłka.

A jednak — po przesłuchaniu księdza, który nic nie mógł czy nie chciał powiedzieć na swoją obronę, jak tylko, że spełnił otrzymany rozkaz, po zeznaniach adjutanta i patroli wszystko przemawiało za tem, że ten ksiądz to zwykły zbrodniarz, szpieg, zdrajca własnego kraju!

Ten człowiek, sługa Boży, mający być wzorem miłości ojczyzny i kraju, tak się zapomniał. Tu rady niema. Przecież takiego puścić nie można. Za taką zbrodnię trzeba koniecznie ukarać. A jedyną karą w tych warunkach — śmierć. I to bez sądu, odrazu.

Ten ksiądz, który był ojcem dla swej wsi, narażonej na ogień, zniszczenie, co sam chodził od jednej kryjówki podziemnej do drugiej i krzepił nieszczęśliwych, często żywność w koszyku roznosił, dzielił z nimi wszystkie trudy, niedolę, co swoim odwagi dodawał, do wytrwania przykładem zachęcał, ten ksiądz ma za chwilę zostać — powieszonym!

To wprost potworne. To chyba straszne nieporozumienie jakieś!

Porieważ ani ksiądz, ani świadkowie jego czynu nic więcej nie mogli dodać do zeznań, spisanych w protokole, nie pozostało pułkownikowi nic innego, jak kazać zaaresztowanego odprowadzić, oddać pod straż, protokół wysłać do przejrzenia generałowi i zażądać zatwierdzenia kary śmierci.

To wszystko musiało być załatwione jak najprędzej a więc jeszcze w ciągu nocy. Zresztą kwatera generała nie była zbyt daleko. W niespełna dwie godziny nadeszła odpowiedź taka, jakiej można było się spodziewać: rozkaz powieszenia księdza. Wyrok miał być wykonany o godzinie 6. rano.

• Odrazu zawiadomiono księdza-szpiega o wyroku.

Zrobił na nim piorunujące wrażenie. Zrazu jakby nie zrozumiał. Nawet uśmiechnął się z niedowierzaniem. Kiedy jednak przeczytano mu uzasadnienie wyroku, kiedy uświadomił sobie, że to naprawdę ma żyć jeszcze tylko parę godzin, że jego życie

już się kończy, padł na kolana blady jak płótno, oniemiały z bólu, podniósł rękę prawą w górę i straszny, nieludzkim wprost z rozpaczy głosem zawołał:

— Na Boga żywego przysięgam — jestem niewinny! Na prochy mojej matki przysięgam! —

Ci, co wyrok przeczytali, poszli przejęci do głębi tragedya, rozgrywającą się przed ich oczyma. Nic pomódz, ni poradzić wobec takiej jawnej winy nie mogli. Pozostała tylko straż wzmocniona, luzująca się co dwie godziny.

Tam z ciemni czarnej nocy dolatywał nieustający odgłos bitwy, szalejącej od mroku ze wzrastającą wciąż siłą, pojedynk moździerzy, dział różnych i grzechot karabinów maszynowych, jakieś głosy, rżenia, krzyki raz bliższe, to znowu dalsze, niewyraźne. — Spodziewany atak nastąpił. Z obu stron walczone zwycięstwo. Z jednej i drugiej strony pchano wciąż nowe rezerwy w bój. Szala zwycięstwa o pierwszą linię rowów strzeleckich wahała się ciągle. Dochodziło nawet do walk zażartych na bagnety. Całe przedpole zasiane było trupami, mimo to walka trwa dalej.

A tu kłęczący ksiądz-skazaniec. Szarpie się w bezmiernej męce. Przygotowuje się na śmierć haniebną.

Nikogo niema koło niego prócz straży. Porwali go, zabrali, uprowadzili w nocy. Sam teraz ze swym bolem, ostatnią przedśmiertną męką. Wzgardzony, opuszczony przez wszystkich. Ani jednej żywej duszy życzliwej w tych ostatnich godzinach. Potępili, skazali. Jutro jego kochani, co się może do kościoła na Mszę zejda, znajdą go jako skazańca, zbrodniarza na szubienicy!

Ale nie. Tuż nad ranem po czwartej zjawia się pułkownik. Może powie, że to tylko sen — może wróci mu prawo do życia.

Lecz ostatnia nadzieja zawodzi. Pułkownik, widać, współczuje, żal mu serdeczny skazanego, ale poradzić nic nie może. Z całej duszy chciałby dowieść niewinności skazanego. Każe sobie opowiedzieć od początku przebieg całego wypadku.

Ksiądz powtarza swoje zeznania zawsze tesame: pod wieczór przyszedł do niego podoficer nieznan i polecił mu surowo postawić w oknie wieży jasne światło. Jeżeli światła nie będzie lub zgaśnie, zostanie aresztowany i ukarany. To wszystko. Poza tem nic więcej nie wie. Styczności z nieprzyjacielem stanowczo nie ma ani nie miał żadnej. Otrzymawszy zlecenie takie stanowcze, zapalił lampę i pozostał w wieży, by dopilnować spełnienia rozkazu. Jaki cel miało wystawienie światła, o tem nie ma pojęcia.



RADA NARODOWA W CIESZYNI:
(z lewej strony prez. Piątkowski, prez. Reger, sekr. ks. Brzuska)

Na pytania, co to był za podoficer, skąd, z jakiego oddziału, nie umiał dać żadnej odpowiedzi. Rozkaz otrzymał ustnie — nie na piśmie. Tyle tylko wie na pewno, że to nie był podoficer obcy.

O zmianie wyroku na tej podstawie, o uniewinnieniu mowy być nie mogło. Wszystko świadczyło przeciw księdzu. Jego zapewnienia i przysięga choćby i w obliczu śmierci, że niewinny, że niema żadnego kontaktu z nieprzyjacielem, że nie zdradzał nikogo, wszystko to nie miało znaczenia. Nie było ratunku. Książd był zgubiony.

Za dwie godziny wyrok musi być wykonany.

Po odejściu pułkownika książd zaczął się modlić za umierających, za samego siebie. Wypowiadać się już nie mógł, na to nie było czasu, więc żałem za grzechy, aktami miłości do Boga i Mistrza swego oczyszczał nieszczęśliwy swą duszę z win i plam, uchybień, gotował się na pewną straszną śmierć, blizką, ohydną.



Szarzało niebo na wschodniej stronie. Świt wstawał powoli. Z trudem przedostaje się światło dzienne przez mgły i opary nocne. Z nastaniem dnia i tam w okopach ustawało szamotanie się i zmaganie nadludzkie, chwilami milkło zupełnie. Piechota nieprzyjacielska zajęła przednie rowy na przestrzeni kilkuset metrów, ale atak silny pozbawił wroga chwilowej zdobyczy. Tylko rannych przysporzyła ta noc setki znowu, uczyniła wdowami i sierotami dziesiątki. Teraz zaś ma pochłonąć jeszcze jedno młode życie, pozbawić całą parafię jej ojca, opiekuna, księdza.

Już godzina 5. rano. Wszystko gotowe. Za godzinę powieszają skazańca.

Do kwatery pułkownika biegnie konno jakiś ordynans. Zeskakuje z konia i oddaje pilną kartę służbową od swego komendanta, kapitana artylerii. W karcie służbowej melduje kapitan komenderujący baterią na zachodnim odcinku, że wczoraj musiał po godzinie ósmej wieczorem ograniczyć ogień swej baterii, gdyż jedyny środek orientacyjny dla mierzenia odległości — światło w wieży w wsi — pomimo jego energicznego polecenia, o godzinie 8. zgasło. Równocześnie kapitan domaga się stanowczo oświetlenia wieży na przyszłość.

Pułkownik osłupiał, zdrętwiał. Teraz zrozumiał. Wszystko stało się jasne. W tej karcie zniecierpliwionego niepowodzeniem swego podwładnego cała tajemnica tragedii księdza, który tam

czeka na stracenie. Pół godziny później a popełnionoby straszną niepowetowaną krzywdę tylko dlatego, że kapitan zapomniał czy zaniedbał zawiadomić pułkownika o wydanem na swoją rękę rozkazie w sprawie oświelenia wieży! Dreszcz zgrozony wstrząsnął pułkownikiem. Chwała Bogu, że jeszcze nie zapóźno!

Ciężar ogromny spadł mu z piersi. Odetchnął swobodnie po nocy denerwującej walką tam w okopach i walką z uczuciem litości i intuicyjnym przekonaniem o niewinności księdza. Znał się na ludziach, wiedział, że zdrajcy inaczej wyglądają niż ten ksiądz.

Co prędzej poszedł do skazańca. Został go zdeterminowanym. Oczekiwał końca spokojnie, z godnością. Ma skończyć haniebną śmiercią na szubienicy jako zwykły zbrodniarz i szpieg. Ale przeświadczenie o zupełnej niewinności daje mu ten niezwykły spokój i hart. Widać, tak Bóg chce. To ostatnia ofiara, jakiej Bóg od niego wymaga. Ciężka nad wyraz, straszliwa, ale ją łączy z ofiarą Chrystusową na krzyżu, oddaje Bogu jako błaganie o odwrócenie tej strasznej wojny od ludzkości całej. Skończy za chwilę taki sam, opuszczony, zdeptany jak robak, wzgardzony. Tak źle z nim postąpiono, tak go skrzywdzono! Ale tam będzie lepiej — tam Zbawiciel otworzy mu Swe ramiona i Serce przedobre — tam Sprawiedliwość, tam Krzyż jaśniejący w chwale — ostateczna odpowiedź na wszelki ból, zło wszelkie i krzywdę.

Nie zauważył wcale, że pułkownik znowu przy nim. Zajęty swemi myślami, ksiądz był przekonany, że ujęcie go za ramię przez pułkownika to wezwanie do ostatniej drogi na śmierć. Powstał odrazu z jakąś dziwną pogodą i godnością w całej postaci swojej z twarzą śmiertelnie znużoną, bladą ale uduchowioną, skupioną. Zdecydowany na wszystko, nie rozumiał wcale słów pułkownika, kiedy ten z wyrazem przeogromnej litości, widocznie wzruszony, przeproszał go za pomyłkę i prosił, by powstał z ziemi, bo wolny, niewinny.

Myśl o bliskiej śmierci tak wgryzła, wżarła się biednemu w mózg, że mu trzeba było powtórzyć parę razy, że to nieporozumienie przykre, że może wrócić do domu.

Za parę minut czekała go śmierć a oto jakiś cud się stał — powiadają mu, że wolny znowu, że może żyć.

Taki szalony przeskok, taka otchłań przepastna, że przeciera oczy, by się obudzić, bo nie wie, czy to może znowu tylko sen jakiś, mara. Raz mu mówią o śmierci, szubienicę gotują, a zaraz potem o prawie do życia. — I stoi na miejscu, zaczyna rozumieć. Stoi, bo się ruszyć nie zdoła, przybity szczęściem, radością. Patrzy nieprzytomnym wzrokiem naokoło na tych, co



RADA NARODOWA W CIESZYNIĘ:

ks. poseł Londzin D. Kluszyńska posłowie dr. Kunicki i Bobek

skazali go na śmierć, wyrok wydali a teraz ten wyrok sami odwołują. Musi dopiero wczuć się w tę myśl, świadomość na nowo, że żyć będzie, że mu wolno żyć dalej.

Dopiero po chwili uświadamia sobie wszystko. Wrażenie takie strasznie mocne, potężne, że przygniata go do ziemi i — ksiądz teraz już wolny, pada bezsilnie tam, gdzie dotychczas klęczał jako skazaniec — pada na ziemię i płacze i szlocha z ogromu szczęścia, radości, Bogu za krzyż i ratunek dziękując.

D. S.



W krzyżu zbawienie.

*Cały świat jęczy pod cierpień brzczeniem,
Ziemia przesiąkła krwią ludzką i łzami...
Lecz w nich skarb leży — my nie wiemy sami,
Że niebo można pozyskać cierpieniem!*

*Grzech nam na barki włożył krzyża znamię,
Cierpieć — dla wszystkich warunków konieczny,
Lecz aby krzyż ten był nam pożyteczny,
Sami poddajmy pod krzyż nasze ramię!*

*Bo skoro cierpieć koniecznie potrzeba,
Cierpmy z weselem, dla Boga, dla nieba...
Łączmy łzy nasze z Chrystusa cierpieniem!*

*Wtedy nam łaska życie oprómieni,
Każdą łez w perłę drogocenną zmieni,
Krzyż i cierpienie będą nam zbawieniem.*

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Najszcześliwszy jest człowiek, o którym się świat dowie, że żył wtedy, gdy mu na pogrzeb dzwonią.

I najbiedniejszy ma coś do stracenia i do rozdania: ma do rozdania swą przychylność, a stracić może honor.

Nic się prędzej nie starzeje, jak wdzięczność.

Dziwne dziecko.

Przysadzisty chłopak, zawsze bosi, niekiedy w olbrzymich butach ojca, nigdy nie uczesany, w ubraniu, w którym więcej było miejsc dziurawych niż trzymających się kupy, zwracał na siebie



Porucznik Klemens Matusiak z oficerami milicyi przed koszarami w Cieszynie.

uwagę swym figlarnym wzrokiem, niekiedy zadumaną powagą, to znów serdeczną uciechą.

Dziwne to było dziecko. Wyrosło jak dziczka niepielegnowana, więc miało więcej wad niż dobrych przymiotów.

Ale miał poczucie obowiązku.

Jedzie sobie pewnego razu — było to w błotniste przedpołudnie — wóz z kadzią, w której rozwożono miód. Woźnica —

to się wie — zdrzemnął się, więc nasz mały przyjaciel wyskoczył niepostrzeżony z tyłu na wóz, a przekonawszy się o słodkiej treści ładunku, nuże ręką swą — brudną, ale zgrabną — sięgać po słodki owoc zakazany. Jadł z prawdziwą zjadłością — w tem wóz przejeżdża koło szkoły, a ze szkoły — bim, bam — nadchodzi głos dzwonka, zwołującego dzieci.

Odgłos dzwonka dla ucznia to znak niechybny, że trzeba zmienić swe położenie, albo w kierunku podwórza, — jeżeli dzwonek kończy godzinę, albo w kierunku klasy — po pauzie. Nasz chłopak zdołał się tem poczuciem obowiązku tak głęboko przejąć, że kiedy naraz usłyszał przeraźliwy głos dzwonka, ruszył się w tej chwili gwałtownie z swego stanowiska, a że wóz równocześnie prędzej się posunął naprzód, stracił równowagę i runął całym swym frontem w przysłowiowe błoto naszej wioski.

Prawdziwy urwisz nigdy nie traci przytomności i zaraz umie ocenić położenie. I nasz miedniak wyskakuje szybko z niewygodnego łoża i w skok do swej ławki w szkole — chociaż dokumentnie »ududany« błotkiem.

Wszedł do klasy. — Nauczyciel za stołem i dzieci w ławkach zdumione. — Pokazała się im bryła-błota, lśniąca się żółtawo w wyższej swej części i ruszająca się — jakby żywa.

Ktoś z chłopców rozpoznał kolegę. U uczniów zdumienie przerodziło się w nieopisany śmiech, u nauczyciela w oburzenie surowe, posługujące się karzącym kijem. — Co jeden koniec ciała zażył rozkoszy, to drugi musiał zapłacić nauczycielowi pod bolesnymi cięgami. Łzy, przyrzekanie poprawy, wrywanie się z rąk i głośny łoskot trzepanych spodni zamieniły się w nieludzki krzyk karanego chłopca.

Zupełnie poprawiony, przekonany o podłości swego uczynku, z przyrzeczeniem poprawy na ustach, a z okiem wdzięcznym dla wychowawcy, udał się na miejsce. Tam najpierw odleżał swój czas na ławce, jak to rozkazują statuty, wypisane w sumieniu każdego ukaranego ucznia, a kiedy się podniósł i robił wrażenie już udobruchanego, pierwszą rzeczą było przemówić do sąsiada.

— A co?

— Szkoda, żech se miodu nie wziön do piórnik, mógłbych se jeszcze teraz pojeść. —

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Jak drzewo nie może rość bez korzenia, oko widzieć bez światła, strumyk płynąć bez źródła, tak cnoty nie może być bez wiary.

Wielki i święty obowiązek dobrego wychowania dzieci.

Żyjemy w przełomowych czasach; odzyskaliśmy wolną, niepodległą Ojczyznę, Polskę, do której się zapewne nasz polski Śląsk samorzutnie na podstawie samostanowienia o sobie przyłączy. Bóg ją dał; Opatrzność Boża wyciąga ją z pożogi i krwi wojennej. Niestety zła wiele się namnożyło podczas wojny i po wojnie. U młodzieży krnąbrność, lekceważenie wszelkiej władzy, zdziczenie, rozwydrzenie; u starszych niechęć do pracy, brak obowiązkowości, zanik podporządkowania się pod prawo, niechęć jednych ku drugim, nieuczciwość, rozrzutność, z drugiej strony bezgraniczne skąpstwo i chciwość, zimne lodowate samolubstwo i bydlęca niemoralność — oto robaki, które toczą społeczeństwo.

Jeżeli chcemy nie naraz, powoli lecz stanowczo naprawić stosunki, wykorzenie zło, muszą wszyscy rodzice bez wyjątku zabrać się do sumiennego wychowania swych dzieci. Od tego zależy lepsza przyszłość jednostek, ogółu i całej Ojczyzny.

Dlatego umieszczamy poniżej kilka uwag wytrawnego i doświadczonego męża o wychowaniu. Przeczytajcie je z uwagą i stosujcie w waszych rodzinach!

»Rodzice sumienni troszczą się przedewszystkiem o dobre wychowanie dzieci. Kochają oni dzieci swoje i dlatego pragną ich dobra, a pojmują, że podstawą szczęścia jest dobre wychowanie. Kochają również swoją Ojczyznę, a wiedzą, że niczem nie przyczynią się w tak wysokim stopniu do rozwoju Ojczyzny, jak dobrem wychowaniem młodego pokolenia. Jeszcze bardziej zwracają uwagę na dobre wychowanie ci rodzice, którzy pamiętają, że za każde dziecko swoje zdadzą rachunek przed Bogiem, że przez zajmowanie się dziećmi spełniają czyn wielce miły Bogu.

Rodzice starają się przeto usilnie o to, aby dzieci wychować na ludzi zdrowych, wykształconych, uczciwych i zaradczych, roznecają w ich sercach miłość ku Bogu, ku Ojczyźnie i ku bliźnim, pobudzają je do sumiennego wypełniania obowiązków, a temsamem ułatwiają dzieciom zbawienie duszy. Każdy rozważny ojciec i matka mają te cele wychowania zawsze w pamięci. Nie wychowują zatem dzieci dla jakiegoś interesu dorosłych albo dla

korzyści rządu, nie sprzedają ich zdolności, czasu i cnoty, lecz starają się wszelkimi siłami o rzeczywiste szczęście swych dzieci, o ich uszlachetnienie i zbawienie.

Bóg sam przekazał rodzicom obowiązek wychowywania, dlatego też wyposażył ich tak dogodnymi warunkami wychowawczymi, jakich żaden inny wychowawca nie posiada w takim stopniu i w takiej liczbie.

Już sama różnica płci ojca i matki sprawia, że każde z rodziców ma nieco odmienne usposobienie, że u ojca przeważa z reguły siła i rozum, u matki zaś serce i dobroć, że zatem rodzice wzajemnie się dopełniają i unikają tem samem szkodliwej jednostronności w wychowaniu. Nie są wolne od jednostronności zakłady wychowawcze, któremi kierują albo sami mężczyźni, albo same kobiety; dlatego żaden zakład nie dorówna dobrej rodzinie pod względem wartości wychowania. W rodzinie bywa nadto więcej dzieci: synów i córek, z których każde ma inny temperament czyli usposobienie, a to zapobiega jeszcze bardziej szkodliwej jednostronności. Zalety wspólnego wychowywania chłopców i dziewcząt czyli koedukacyi, pobudziły wielu pedagogów do tego, że w szkołach i konwiktach zaprowadzili koedukacyę. Istotnie koedukacya okazała się pożyteczną w pierwszych czterech lub sześciu latach nauki w szkołach (ludowych), zatem w wieku od 7. do 13. lat, natomiast u młodzieży, u której budzi się popęd płciowy, wydała ona przeważnie rezultaty ujemne, nad któremi nie zamierzamy się tu rozwodzić. Węzły rodzinne natomiast i życie się od niemowlęcia sprawiają, że w ognisku życia domowego koedukacya z reguły nie podsyca zmysłowości, owszem uczy brata rozumieć i szanować siostrę, pobudza do bronienia jej przeciw napaściom, a siostrę nakłania do rozumienia brata i do zjednywania go sobie łągodnością i dobrocią.

Rodzice mogą poznać dziecko lepiej niż którykolwiek inny wychowawca, bo przebywają z niem ustawicznie, spędzają z niem dobre i złe chwile, pracę i rozrywki, a to od lat niemowlęcych, zatem od pory, kiedy dziecko nie umie nic tajić ani kłamać, przeto w jego duszyczce czytać można jak w otwartej księżce. Któż zaś nie wie o tem, że poznanie dziecka jest głównym warunkiem rozsądnego wychowania. To też każdy dobry nauczyciel porozumiewa się chętnie z rodzicami, aby z ich sprawozdań uzupełnić własne spostrzeżenia i poznać dziecko należycie.

Rodzice kochają dziecko miłością bezinteresowną, gotową do poświęceń. Jest to popęd wrodzony, który znachodzimy także u zwierząt, popęd opatrnościowy, który sprawia, że matka budzi się na głos słabego zakwilenia niemowlęcego, śpieszy z pomocą



KS. EMANUEL GRIM, prob. w Istebnej,
poeta śląski, autor dzieła »Paweł Stalmach w świetle
prawdy«, »Z nad brzegów Olzy«, »Jasełek śląskich«
i wielu innych utworów, tchnących swojskością i głę-
boką miłością ziemi Piastowskiej.

bez narzekania i nieraz spędza noce bezsenne przy chorem dziecieniu. Nawet dziecko niewdzięczne i przewrotne nie zawodzi się zazwyczaj na sercu matki, gdyż biedna, strapiona matka mówi: »Skoro cię wszyscy potępiają, niechże ja przynajmniej ulituję się nad tobą!« Miłość pobudza rodziców do tego, że obsypują dziecko dobrodziejstwami i w ten sposób łatwiej jak którykolwiek inny wychowawca mogą naprawić krzywdę dziecku wyrządzoną, n. p. karę niesłuszną. Miłość uczy rodziców cierpliwości bez granic, bo już św. Augustyn zaznaczał trafnie, że wychowawcy potrzeba: w pierwszym rzędzie cierpliwości, powtóre cierpliwości i po trzecie cierpliwości. Rodzice nie znudzą się powtarzaniem tych samych pytań ze strony dzieci, ale powtarzają im swoje wyjaśnienia po wielokroć, starają się wyrozumieć nieudolne szczebiotanie dzieci, powtarzają im bez zniecierpliwienia swoje nakazy i zakazy, oswajają się z ich krzykliwością przy zabawach i czują się zadowolonymi tam, gdzie obcy zatyka uszy lub uchodzi. Ponieważ zaś z miłości rodzi się zwykle wzajemność, przeto nie dziw, że dzieci kochają z reguły swoich rodziców więcej niż innych wychowawców, a zatem starają się ich nie zmartwić i spełniają chętnie każde ich życzenia. Miłość opromienia ognisko życia rodzinnego ciepłem serdecznem i czyni zeń ostoję na całe życie.

Miłość rodzicielska staje się wówczas dopiero nieszczęściem dla dziecka, gdy popada w przesadę i przeradza się w pobłażliwość bez granic. Gdzie zawładnie ślepa pobłażliwość, tam dorośli przestają wychowywać i dzieci czynią, co im się podoba. Zapobiega temu najlepiej religijność rodziców. Szczera i głęboka religijność nie zezwoli dzieciom za żadną cenę na jakieś grzechy, jak na wyśmiewanie się z drugich, na robienie szkody, kradzieże, dokuczanie i t. p. Matka religijna spokojnie ale stanowczo zabrania dziecku wszystkiego, co jest moralnie złem, lub wogóle dla dziecka niestosownem lub szkodliwem. Z drugiej strony ta sama religijność budzi miłość nadprzyrodzoną ku dzieciom i dla miłości Bożej każe postępować z niemi wyrozumiale nawet wtenczas, gdyby dzieci były kalekami, gdyby wyglądały wstrętnie lub raniły serca rodziców niewdzięcznością i życiem występniem. Wszak Chrystus Pan ucierpiał na krzyżu za każde z owych dzieci — wszak o każdym zapewnia, że »ktoby przyjął dzieciątko w imię Moje, Mnie przyjmuje«, wszak przez zaniedbanie obowiązków względem dzieci narażają rodzice dusze własne na potępienie! Religijność przypomina zarazem, że Bóg dopomaga do wszystkiego co nakazuje, że zatem rodzice nie powinni tracić otuchy nawet wtenczas, gdy wszystkie naturalne środki wychowawcze nie dopisały. W pracy nad duszami, według zapewnień

nia Ewangelii św., często kto inny sieje — a sieje w warunkach nader trudnych, sieje ze łzami — a kto inny (ojczyzna, społeczeństwo) zbiera plon. Chociażby zabiegi wychowawcze nie przynosiły owocu, rodzice chrześcijańscy nie ustają w pracy, bo za pracę, a nie za owoce Bóg ich sądzić będzie; z pracą łączą jednak modlitwę i ufają, że chociażby po ich śmierci Bóg da ich dzieciom łaskę upamiętania się, że synowie lub córki odświeżą sobie wówczas ich przykład i upomnienia i wdzięczną pamięć o swych przodkach przekażą potomnym. Z rozmysłu poruszyliśmy wypadki całkowitego zepsucia dzieci, chociaż przy prawidłowym wychowaniu zdarzają się one nader rzadko. W istocie ze zniechęceniem w pracy wychowawczej lub naodwrot, ze zbytnią pobłażliwością spotykamy się najczęściej w kołach inteligencji niewierzącej, gdy tymczasem lud wiejski znajduje w Bogu niezawodny wskaźnik postępowania. Religijność sprawia, że rodzice nie działają pod wpływem wzburzenia lub humoru, lecz starają się poznać w każdym wypadku, jaka jest wola Boża i tej woli uświadzić się podporządkować. Z religijności wypływają zatem dwa nader cenne przymioty wychowawcze: rozważa i panowanie nad sobą. Ducha religijnego podtrzymuje w rodzinie chrześcijańskiej ustawiczna opieka Kościoła z tytułu Sakramentu małżeństwa i z tytułu Chrztu każdego dziecka. Układ roku kościelnego z szeregiem wspaniałych uroczystości kościelnych i domowych przywodzi na pamięć życie i wzór Przenajświętszej Rodziny i do czynów tych samych podsuwa kolejno coraz to inne pobudki, usuwając nudną jednostajność. Rozczytywanie się w żywotach Świętych, chrześcijański porządek życia domowego, święcenie niedziel, słuchanie kazań, spowiedź i Komunia św., udział w bractwach i t. p. — środki chrześcijańskie podniecają również ducha religijności i utrwalają wpływ jego na dobre wychowanie.

Prawidłowa rodzina chrześcijańska zawiązuje się na gruncie wzajemnej miłości małżonków i miłość tę wzmacnia przysięga, rozciągając ją aż do śmierci. Miłość usposabia do wzajemnej wyrozumiałości, do zgody i jedności w pożyciu, a właśnie przymioty wymienione są nader pomocnymi warunkami do dobrego wychowania. Dobra matka chrześcijańska nie wystąpi ostro przeciw ojcu nawet wtenczas, gdyby ojciec niewłaściwie z dzieckiem się obszedł, nie bierze zatem dziecka nieogłędnie w obronę przeciw ojcu, owszem wskaże dziecku, w czym ono zawiniło, chociaż po części. Dopiero odesławszy dziecko, porozumie się matka z ojcem i obmyśla zgodnie sposób, jak sam ojciec naprawi swoje uchybienie. Tak samo postępuje ojciec w razie jakiegś niewłaściwości ze strony matki. Rzecz jasna, że zgodne



Prezydent Stanów Zjednoczonych Woodrow Wilson.

działanie rodziców musi wyrzucić wpływ potężny na kierunek życia u dzieci. Przekonanie o nierozzerwalności małżeństwa wpływa z reguły korzystnie na zgodę między małżonkami, bo nikt nie chce sobie zatruwać całego życia, więc przebacza chętnie usterki codzienne. Istotnie w państwach, które zaprowadziły rozwody, wielu rozwiedzionych pobiera się na nowo; na cóż się więc rozwodzili? Widocznie do rozwodu pobudziły ich względy drobnej wagi, a jednak dzieje się to z niemałą szkodą dla wychowania dzieci. Każdy zakład wychowawczy stara się o utrzymanie zgody i harmonii pośród wychowawców, ale żaden z nich nie posiada równie skutecznych środków ku temu, jak prawidłowa rodzina chrześcijańska.

Z religijności wypływa inny, nader ważny przymiot rodziców w stosunku do dzieci, mianowicie ich powaga. Wprawdzie już stan zupełnej nieporadności, w jakiej rodzice otrzymują niemowlę, pobudza dziecinę do podziwiania siły fizycznej, zręczności i mądrości rodziców, co jest znakomitem podłożem ich powagi, ale podłoże to nie starczy na długo, jeśli w postępowaniu rodziców ujawnią się wady moralne lub chwilejność, a zabraknie konsekwencji. Rodzice religijni nie pozwolą nigdy na grzech i nie zabronią tego, co dobre i dla dziecka wykonalne, a zatem są konsekwentni w swoim postępowaniu, nie potrzebują zmieniać co chwilę swoich zarządzeń i nie popadają w sprzeczność między słowami a czynami. Inaczej ma się rzecz z rodzicami niereligijnymi. Jakżeż mogą być konsekwentnymi ci, którzy sami nie wiedzą na pewno, co dobre a co złe, i nie uznając prawd wiary, zmieniają co chwilę swoje zapatrywania? Jeśli nawet zalecą dziecku coś słusznego, to życiem swoim przekreślają zarządzenia własne. Religijność krępuje wprawdzie rodziców, ale ich także uszczęśliwia, bo daje im pewność, że zaprawiają swem postępowaniem dziecko do tego, co jest i zostanie na zawsze dobrem i słusznym. Z drugiej strony religijność udzieli się także dzieciom i sprawi, że przejmą się na wkroś czwartem przykazaniem, w którym Bóg żąda, aby dzieci były rodzicom posłuszne i aby to czyniły chętnie z miłości ku Bogu.

Długotrwałość i nierozzerwalność małżeństwa chrześcijańskiego przyczynia się również do skuteczności zabiegów wychowawczych. Wiadomo, że kropla wydrąży kamień nie siłą, lecz czemś niesłuchaniem czułem i wrażliwem; jakżeż mogłoby się ono oprzeć pobudkom, zwłaszcza przykładom, stale i niezmiennie powtarzanym przez tak długie lata! Czyż dzieje nie znają chlubnych wiekowych tradycji w niejednej rodzinie, które z dziadów przecho-

dziły na prawnuków nie drogą przymusu, lecz długotrwałem wychowywaniem według zasad przyjętych, a zwłaszcza wpływem ciągłego dobrego przykładu osób dorosłych?

Nierozzerwalność małżeństwa jest w stanie nawet samolubnych małżonków pobudzić do starannego wychowywania dzieci. Jeśli bowiem dziecko źle wychowane będzie ciężarem dla gminy i państwa, to największym ciężarem i zakałą będzie ono w przyszłości dla rodziców własnych. Przeciwnie dziecko dobrze wychowane może się stać kiedyś chlubą gminy i państwa, a na pewno będzie pociechą i podporą — jeśli już nie chlubą — rodziców w ich latach sędziwych.

Większa ilość dzieci, właściwa rodzinom chrześcijańskim, nie utrudnia wychowania, owszem je ułatwia. Wystarczy bowiem wychować starannie dziecię pierworodne, a ono, przestając ustawnie z młodszem rodzeństwem, dopomoże wybornie do wychowania swych sióstr i braci. Przeciwnie bezbożny system jednego lub dwojga dzieci pobudza łatwo do zbytnej pobłażliwości względem malców i wydaje wstrętnych samolubów ze samej obawy, aby jedyny spadkobierca nie doznał jakiegoś szwanku lub upokorzenia.

Z woli Bożej jest rodzina w pierwszym rzędzie i głównie powołaną do dzieła wychowania. Z woli Bożej znajduje na to rodzina pomoc skuteczną w Kościele katolickim w zakresie wychowania religijno-moralnego. Kościół udziela rodzicom rad i wskazówek co do wychowania naturalnego i uzupełnia działalność rodziny wypróbowanemi środkami nadnaturalnemi: Kościół też prowadzi sprawę udoskonalenia etycznego wychowanków w porze, kiedy rodzina skończy swoje zadanie wychowawcze i wychowankowie żyją samodzielnie lub zakładają nowe rodziny. Nawet w zakresie majątkowym nierozzerwalność małżeństwa pobudza rodziców do większej pracowitości i oszczędności, bo rodzice cieszą się, że owoce ich pracy nie dostaną się w ręce obojętne, ale dostarczą ich ulubieńcom środków do rozpoczęcia zawodu samodzielnego i ułatwią im stanowisko w świecie. Gdzie Kościół i rodzina spełniają gorliwie swe zadanie w duchu poświęcenia się chrześcijańskiego, tam wychowanie młodych pokoleń odbywa się prawidłowo i wydaje błogie rezultaty.

Oczywiście nie jest rzeczą obojętną, czy i o ile inne czynniki społeczne, zwłaszcza państwo, szkoły i organizacje oświatowe, idą na rękę rodzinie i Kościołowi w ich działalności wychowawczej lub przeciwnie czy działalność tę krępują, a nawet krzyżują; w ostatnim razie dobre owoce wychowania będą utrudnione, ale przecież nie zostaną całkiem udaremnione. Historia uczy, że



Komisya międzysojusznicza w swem biurze w hotelu »pod Jeleniem« w Cieszynie w jesieni 1919.

prawo pięści i chęć wynaradawiania pobudzały rządy już nieraz do usiłowań, by wypaczyć wychowanie, by narzucić mu cele obce chrystyanizmowi i miłości Ojczyzny i użyć szkół za narzędzie ucisku. Cesarze rzymscy prześladowali chrześcijan za ich wiarę, a niektóre bezwyznaniowe państwa nowożytne starają się udaremnić wychowanie chrześcijańskie; Prusacy zapomocą szkół usiłowali zmienić, a Moskale zruszczyć dźwiatwę polską. Cóż ratowało wszędzie wiarę i narodowość? Oto Kościół i rodzina chrześcijańska. Wiadomo, że Bismark narzekał głównie na księży i na matki-Polki, że z powodu licznych dzieci nazywał Poznańskie »królikarnią« i mimo potęgi militarnej, mimo kapitałów i nieublaganej administracyi urzędniczej celu nie osiągnął. Wiadomo, że Moskale chcieli nieraz księżom przyznać swobody i korzyści materyalne, byleby księża pomogli wynaradawiać za pośrednictwem tak zwanych dodatkowych nabożeństw, wiadomo, że, widząc bezskuteczność swoich zabiegów, oddawali każdego duszpasterza pod dozór policyjny, wiadomo, jak surowo karali dwory polskie za prowadzenie tajnych ochronek i szkółek, a mimo to Kościół i rodzina zrobili swoje: ocalili wiarę i narodowość.

Dlaczegoż obecnie żalimy się coraz częściej na złe prowadzenie się młodzieży? Oto wojna wstrząsnęła podwalinami życia rodzinnego. Wielu ojców rodzin padło na placu boju, a matki nie mają należytej powagi wobec synów-wyrostków, owszem zawisły często od ich pracy. Inni ojcowie rodzin powrócili do domów zatruci duchem zdziczenia i zmateryalizowania i ducha tego udzielają swym dzieciom. Nie brak więc takich rodzin, w których rodzice hołdują prądom paskarstwa, wyzysku, lenistwa i nieposzanowania cudzej własności, a lekceważą sobie demoralizację własnych dzieci. Zepsucie moralne, jakby pożar, przerzuca się łatwo na dźwiatwę rodzin sąsiednich i obejmuje koła coraz szersze. Nie godzi się zamykać oczu na objawy tak fatalne, ale nie godzi się również popadać w zwątpienie i w beczynne rozgoryczenie; należy dźwigać jak najszybciej poziom wychowania narodowego przez ulepszenie szkół, przez zaopiekowanie się młodzieżą, która opuściła szkołę powszechną, przez oświecanie dorosłych, a przede wszystkim przez podniesienie wychowania rodzinnego.«

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Nie naśladowaj złych w rozpuszcie i występku, choćby ich wielu było; wielu złe czyniąc, nie zmieniają go w dobre, a cnota nie przestaje być cnotą, choćby ją mało kto pełnił. Tylko owce głupie pędzą za innymi — choćby w przepaść.



Ofiary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r. — Zwłoki bohaterów obronców Śląska
na cmentarzu w Stonawie.

Jak Czesi prowadzili „wojnę śląską“.

W niniejszym kalendarzu znajdują czytelnicy szereg obrazków, przedstawiających straszne ofiary napadu czeskiego na Śląsk polski w styczniu 1919 r. Każda walka orężna pozostawia po sobie trupy. Krwawych ofiar zażądała od nas także walka, narzucona nam przez Czechów. Temu dziwić się nie można, ale zgrozą przejmują nas te obrazki dlatego, że świadczą, jak barbarzyńsko Czesi dobijali ciężko rannych, jak się znęcali nad poddającymi się lub nad schwytanymi.

Jeden z obrazków przedstawia nam 20 ofiar, złożonych szeregiem na cmentarzu w Stonawie. Są to polscy legioniści, pochodzący z powiatu bialskiego, którzy, z wyjątkiem może trzech, zostali wszyscy dobiti przez Czechów; czaszki ich są zdruzgotane, wszyscy mają ranę w sercu, zadaną przez kulę karabinu, przyłożonego do samych piersi, albo bagnetem. Widzimy tu żołnierzy bez butów i bez ubrania, tylko w bieliznie. To czescy żołnierze rozebrali czterech zabitych polskich legionistów do naga i tak zostawili na drodze publicznej przez dwa dni. Trzem ofiarom ściągnęli czescy żołnierze wobec przypatrującej się publiczności na cmentarzu stonawskim buty i spodnie, a położywszy przy trupach 28 centów, mówili: »Tu macie 28 krajarów za te »kalhoty« i buty!«; zdobywczy wzięli z sobą. Ks. proboszcz Krzysiek i p. Karol Brózka podarowali dla tych ofiar bieliznę, aby pokryć ich nagość.

Straszne to wspomnienia! Straszne dzieje tych trupów! W gospodzie »pańskiej« padł jeden z zabitych na kolana i prosił o łaskę, ale żołdak czeski złożył się do wystrzału, wystrzelił do niego, a w końcu jeszcze ciężko rannego przebił bagnetem. Koło dworu przy zamku stonawskim szedł jeden z zabitych z rękami wzniesionymi do góry, aby się poddać, ale czeski żołnierz odprowadził go na bok i tam go przebił bagnetem. Przed domem Józefa Gemrorta leżał konający polski legionista; czeski żołnierz jeszcze go przebódkł. Pod szkołą I. leżał ciężko ranny legionista polski; czeski żołnierz według zeznania świadków przyłożył mu do piersi karabin i dobił go. W domu Franciszka Kałuży zostali trzej legioniści polscy otoczeni. Jeden z nich na klęczkach prosił o darowanie mu życia. Czeski żołnierz odpowiedział mu strzałem w głowę. Cała ściana była zbryzgana krwią zabitego legionisty. Dwaj legioniści skryli się na chlewkę; wytropieni przez Czechów, błagali o miłosierdzie. Czescy żołnierze zaczęli do nich

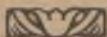
Ofiary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r.



Polscy żołnierze zamordowani kulami czeskich »legionarzy«.

strzelać jak do zajęcy i zranili ich ciężko. Śmierci uszli tylko dzięki temu, że jeden z obywateli powiedział Czechom, że polscy żołnierze już są martwi. Na »Smołkowcu« postawili Czesi schwytanych żołnierzy polskich pod ścianę i chociaż Polacy prosili o łaskę tak głośno, że ich głos był podobny do ryku, to jednak litości nie znaleźli. Padli wszyscy od kul czeskich. Na drodze do Jana Firli, rolnika, leżał polski legionista, raniony ciężko w obie nogi. Przechodzący tamtędy czeski oficer dobił go z rewolweru.

Te czeskie barbarzyństwa mogą każdego czasu stwierdzić świadkowie. Barbarzyństwa te podano do wiadomości komisji alianckiej. Dzisiaj ci, co bezbronnych w tak bestyalski sposób dobijali, chcą naszych głosów! Nigdy im ich nie oddamy! Krew niewinnie a barbarzyńsko mordowanych naszych braci spadłaby przekleństwem na nasze głowy!



Pójdźmy za Nim!

*Ludzie na świecie — za wzór zwykle mają
Swych panów: w czynach, słowach i — ubiorze;
A kształcąc siebie na tym swoim wzorze
Wkrótce się do nich podobnymi stają.*

*»Jakim pan, takim też jest sługa jego«.
A my?... wszak także mamy swego Pana,
Wzór cnót!... lecz ludzkość grzechem skrepowana
I chce — i nie chce należeć do Niego.*

*W tem, co jest łatwe, chce Go naśladować,
Lecz nie chce w niczem własnych żądz krępować;
I pragnie zawsze wygodne wieść życie.*

*Jednak Bóg, władca niebieskiej krainy,
Wtedy nas tylko uzna za Swe syny,
Gdy w nas odnajdzie Chrystusa odbicie.*

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Po czem człowiek poznaje, że się starzeje? Po tem, że przestaje żyć nadzieją, a zaczyna żyć wspomnieniami.

Oliary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r.



Polski żołnierz ciężko ranny, obsypany przez Czechów «junaków» prochem i podpalony.

O Słowakach i Słowaczyźnie.

Dobry to ludek ci Słowacy. Zamieszkują obecnie całą połac kraju na południe od Karpat, począwszy od Preszburga aż do Siedmiogrodu. Ziemia, na której mieszkają, jest po wielkiej części górzysta i nieurodzajna; wiele trzeba włożyć do niej pracy, a wydaje plony skąpe i w niedostatecznej ilości Dlatego Słowacy już przed wojną wychodzili z swych lichych lepianek wiosną i latem na daleki świat, do Ameryki nawet, ze zwojem drutu z charakterystyczną torbą, ozdobioną rzeźbami mosiężnymi lub z wielką sztalugą, na której umieszczono tafle szkła, za chlebem. Na zimę wracali zazwyczaj do domów z uciętym groszem. W Ameryce, w Stanach Zjednoczonych, mieszkało przed wojną przeszło 200 tysięcy Słowaków, pracujących w fabrykach, hutach, kopalniach innych wielkich przedsiębiorstwach. Robotnik słowacki był ceniony w nowym świecie, bo był trzeźwy, pracowity, wytrwały, spolegliwy i sumienny. Tam też na wolnej ziemi amerykańskiej dzięki pracy i oszczędności doszły kolonie słowackie do dobrobytu; mały swe kościoły, swych duszpasterzy, swe szkoły, różne organizacje zawodowo-oświatowe, liczne pisma i gazety, które budziły w niej duszę słowackiej, zahukanej w domu uciętym madziarskim, uświadomienie narodowe i podtrzymywały w obcym środowisku zamiłowanie języka, zwyczajów i obyczajów swoich. Wielu z pośród Słowaków, szczególnie górali, wracało, pędzeni tęsknotą, zaoszczędziwszy coś pieniędzy, z poza morza do smętnej, uciskanej, lecz mimo to a może dlatego tem goręcej kochanej ziemi ojczyznej, aby przynajmniej sterane trudami kości złożyć w ziemi ojców.

Sympatyczny to naród, usposobieniem, charakterem, językiem i szczerą pobożnością do nas Polaków bardzo zbliżony.

Przedwojenna statystyka urzędowa węgierska — oczywiście sporządzona na niekorzyść Słowaków — podawała ich liczbę na przeszło 2 miliony; katolicy stanowią $\frac{3}{4}$. protestanci różnych sekt i ludności $\frac{1}{4}$ ludności.

Kiedyś w dawnych czasach byli Słowacy narodem wielkim, bogatym i potężnym. Mieszkali na całej urodzajnej, winorodnej i zbożodajnej nizinie węgierskiej. Kiedy jednak w IX. wieku po Chr. pojawił się szczep fińsko-mongolski Madziarowie nad Cisą i Dunajem, wyparli spokojnych Słowaków z tych żyznych dolin

Ofiary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r.



Polski żołnierz, złapany na patroli, zakłuty przez czeskich najezdców bagnetami.

na północ, w góry. Wcisnięci już w góry tworzyli Słowacy za księcia Swatopluka i syna jego Mojmira wielkie państwo.

Z smutkiem wspomina o tej sławie i potędze państwa hymn narodowy słowacki:

*Nitro miła, Nitro, słowacka macierzy,
Kiedy ciebie wspomnę, łza mi z oczu bieży.
Ty si bola nekdy wszelkych krajin hlava,
W których ciecze Dunaj, Wisła i Morawa.*

Za królów polskich Bolesława Chrobrego i syna jego Mieszka II. kraj słowacki aż po Dunaj należał do Polski i czuł się jako część wielkiego państwa polskiego szczęśliwym i zadowolonym. Następnie opanowali Madziarzy Nitrę, stolicę Słowaczyny i od tej chwili byli Słowacy aż do roku 1918 pod panowaniem madziarskiem.

Były to ciężkie czasy niewoli i ucisku; szczególnie w ostatnim czterdziestoleciu zaprowadzili Węgrzy na Słowaczczyźnie system bezwzględnej madziaryzacji; przez urzędy, wojsko (honed), szkoły, kościoły starali się wynarodowić Słowaków. Zostawiali ich w ciemnocie, w zaniedbaniu kulturalnem, uważali jedynie za bydło robocze. Wszędzie panował wszechwładnie język węgierski; każde śmielsze słowo, każdy odruch narodowy tłumiono bezwzględnie. Ducha narodu podtrzymywała nieliczna inteligencja słowacka, która wyszła z ludu i broniła jego praw przeciw brutalnym ciemniźcytelom, szczególnie zaś stanęło w obronie biednego tego narodu duchowieństwo katolickie.

Wybuchła wielka wojna. Słowacy licznie wpychani do pułków austro-węgierskich hojnie i obficie przelewali krew za cudzą sprawę. Już podczas wojny utworzyły się w Rosyi z jeńców słowackich oddziały ochotników, które, wcielone do armii ententy, walczyły przeciw Austro-Węgom i Niemcom i odznaczyły się męstwem i odwagą. Dnia 30. maja 1918. r. zagwarantował obecny prezydent czeskiej republiki Masaryk umową pittsburską Słowakom w zjednoczeniu z Czechami zupełną samodzielność czyli autonomię. Gdy zwycięska ententa powaliła Austro-Węgry i Niemcy na łąry i rozpoczęła na nowo kreślić mapę Europy, przyznała nowej republice czeskiej także ziemię słowacką, odrywając ją w ten sposób od Węgier.

Gdy wkroczyły wojska czeskie na Słowaczczyznę, biedny, nękania, gnębiony i prześladowany przez Madziarów lud słowacki witał ich ze łążą radości w oczach. Lecz niebawem nastąpiło bolesne rozczarowanie; entuzjazm dla »braci oswobodzicieli« za-

Ofiary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r.



Polski żołnierz przez czeskich legionistów porąbany i bańnetami
w głowę pokłuty.

mienił się w gorzkie narzekania i skargi. Bo czescy przybysze zaczęli gospodarować na Słowaczczyźnie jak w jakim zapadłym zakątku Afryki między dzikimi plemionami murzyńskimi. Oficerowie, legionarze, urzędnicy, nauczyciele, profesorowie, który w liczbie 40.000 spuścili się na Słowaczczyznę jak głodna szarańcza, zaczęli tu po »czesku« gospodarować. Obrażali głęboką wiarę i szczerą pobożność ludu słowackiego, bezczeszcząc kościoły, kaplice, krzyże, obrazy i przedmioty święte, szerząc w cyniczny sposób hasła religijnego nihilizmu i zarazę moralną. Ze to nie gołosłowne twierdzenie, lecz oparte na wiarogodnych świadectwach naocznych świadków wiadomości; pozwolimy sobie udowodnić. Husytyzm, fanatyczne niedowiarstwo, szatański pociąg czeskich wojsk do zwalczania religii katolickiej zauważono natychmiast po ich wkroczeniu na Słowaczczyznę. Madziarskie rządy były drakońskie, surowe, bezwzględne, lecz brutalni węgierscy urzędnicy nie tykali największej świętości i najcenniejszego skarbu ludu słowackiego, religii. Narzucali wprawdzie czysto słowackim dycezyom i parafiom węgierskich biskupów i proboszczów, lecz kościoły, kaplice były im rzeczą nietykalną. Jak postępowali »oswobodziciele«? Tylko kilka prawdziwych, rzeczywistych, stwierdzonych faktów na podstawie autentycznych wiadomości. Tak pisze ołomuniecki dziennik »Naszinec« (z 3. września 1919, nr. 201) w artykule: »Teror na Słowaczczyźnie o bezwzględnych rządach czeskich w tym kraju:

»Piękne były na Słowaczczyźnie ostatnie dni ubiegłego roku. Lud słowacki radował się ze swego wyzwolenia z odwiecznej niewoli. Uroczyście witał wszędzie swych braci Czechów jako bojowników za swoją wolność. Lecz nie przypuszczał wtedy ów nabożny lud słowacki, że za tę bratnią pomoc żądać się odeń będzie ofiary niezmiernej, której ten lud dać nie może, że żądać się odeń będzie ofiary z wiary, religii i obyczajów ojcowskich. Niestety, tak się stało. Słowaczczyznę dosłownie opanowały żywioły, uważające swój urząd za środek do wyzyskiwania Słowaków, a prócz tego bezkarnie znieważające i drwiące z przysłowiowej religijności ludu słowackiego. Wszystkie te zbrodnie doszły do tak niezmiernych rozmiarów, że przyznał to nawet sam inicjator i krzewiciel tego wszystkiego, minister dla Słowaczczyzny dr. Szrobar. W ostatnim swym referacie na konferencji posłów i żupanów słowackich oświadczył Szrobar: »Wielu Czechów przybywa tu niby do ziemi okupowanej, gdzie, jak mniemają, będą mogli rabować«. Stwierdził również znieważanie religijnego ducha Słowaków w słowach: »Co się tyczy wiary, to prosimy Czechów, aby nikt nie obrażał religijnego usposobienia naszego ludu«. Czyż

Ofiary czeskiego najazdu na polski Śląsk w styczniu 1919 r.



Polski żołnierz przez najedzców bagnętami zabity.

trzeba bardziej klasycznego przykładu? Skoro się tak rzeczy mają, to czy można się dziwić, że naród słowacki zbudził się ze snu? Pierwsi też wszczęli alarm jego przywódcy.»

Bo też zbrodnie antyreligijne, jakich się dopuszczali Czesi na Słowaczyźnie, były straszne i oburzające. Tak n. p. zajęli czescy żołnierze wraz z oficerami w Szawniku (na Spiszu) letnisko biskupa spiskiego. Rozjuszony żołdactwo czeskie wpadło do willi, wszystkie pokoje doszczętnie zrujnowało, następnie z dzikością wprost oburzającą i wstrętną dotarło do kaplicy biskupiej, gdzie bezecny żołnierz, wdziawszy na siebie szaty kościelne, z kielichem w rękę poszedł do ołtarza, zachowując się przytem tak wstrętnie, że tego nie można opisać. Drugi żołdak, wystąpiwszy na ambonę, wygłosił kazanie »po żołniersku«, t. zn. rzucając najohydniejsze i najbrzydsze klątwy i bluźnierstwa, podczas gdy reszta żołnierzy-bezecników śmiała się i bluźniła tak samo. Zniszczono obrazy, ołtarze, szaty liturgiczne, cenne zaś przedmioty i naczynia, jak kielichy, zebrano ze sobą. W Rudnem w żupaństwie trenczyńskim, uwięzili czescy sokoli sędziwego 67-letniego proboszcza za to, że różne ich zbrodnie i występki karcili. Czescy sokoli uwiązali starca do wozu, a tak go ciągnęli do najbliższego miasta; ponieważ schorzały kapłan nie mógł biedz za końmi i osłabiony padł na ziemię, wlekli go kawał drogi po ziemi, aż nareszcie rzucili go pokrwawionego, zabłoconego na wóz i odwieźli następnie do osławionego więzienia w Terezinie w Czechach. Nie mógł się na te bezceństwa patrzeć spokojnie przewodca katolickiej większości ludu słowackiego, zorganizowanej w »stronnictwie ludowem«, nieustraszony proboszcz w Ružomberku, ks. Andrzej Hlinka; nie mogąc nigdzie w »republice« znaleźć środka pomocy przeciw gwałtom, udał się we wrześniu 1919 r. do Paryża, by tam przed zastępcami wielkich państw, darzących cały świat wolnością, wynurzyć bole i krzywdy biednego bezbronного ludu słowackiego, który się dostał z deszu pod rynnę, z niewoli madziarskiej pod okrutniejszy jeszcze obuch czeski. Czesi pienili się ze złości, prasa szowinistyczna przedstawiała go jako »zdrajcę stanu«, »madziarona«, klub czechofilskich Słowaków wykluczył go ze swego grona, zgromadzenie narodowe w Pradze zaś pozbawiło go »mandatu«.

Aby zrozumieć choć powierzchownie obecne stosunki na Słowaczyźnie należy wiedzieć, że obecnie istnieje tam 5 stronnictw politycznych, mianowicie: 1. stronnictwo ludowe ks. Hlinki, 2. stronnictwo narodowe (protestanci i część inteligencji). 3. stronnictwo agrarne, 4. stronnictwo socjalnych demokratów i 5. stronnictwo chrześcijańskich socjalistów (zbliżone bardzo do partyi

ks. Hlinki). Z tych stronnictw jedynie agraryusze i socjalni demokraci chcą pozostać w stosunku z Czechami. Są to ludzie przeważnie kupieni za czeskie pieniądze o chwiejnej oryentacji oraz kilkunastu kupców, którzy są w czeskim przemyśle grubo zaangażowani. Rząd czeski popiera dążności stronnictwa agraryuszów, lecz wynik tej pracy wśród ludności, której 80 procent darzy bezgranicznym zaufaniem ks. Hlinkę, jest mały.

Na Słowaczczyźnie mają obecnie największe znaczenie tylko dwa stronnictwa: ludowe i narodowe. Za czasów madziarskich skupiało się życie polityczne i kulturalne Słowaków w Turczańskim św. Marcynie, a kierownictwo spoczywało prawie wyłącznie w rękach protestantów, którzy, zdobywszy sztucznie supremacyę, byli panami jedynego poważnego pisma politycznego »Narodnie Nowiny«. W Turczańskim św. Marcynie było także centrum polityczne; tu odbyło się zjednoczenie czesko-słowackie dnia 30. października 1918. r. Wówczas cały naród słowacki bez różnicy wyznania i zapatrywań i kierunków politycz. cieszył się, że jarzmo madziarskie złamane, że się rozpocznie epoka wolności i sprawiedliwości w zjednoczeniu z Czechami. Także ks. Hlinka przybył ze swymi zwolennikami na to »święto wyzwolenia«. Lecz gdy natychmiast po owem »święcie« Czesi przez swego upełnomocnionego ministra dla Słowaczyny, dra Szrobara, zacieklego wroga katolicyzmu i ks. Hlinki, zaczęli jednostronnie protegować protestantów ze »stronnictwa narodowego«, mianując z pośród nich prawie wszystkich członków słowackich do zgromadzenia narodowego i powołując wyłącznie prawie protestantów na posady żupanów i wyższych urzędników, stronnictwo ks. Hlinki zaczęło się organizować, by stosownie do swej liczebnej siły wywalczyć sobie równouprawnienie. Gdy nadto nastali Czesi, depcąc brutalnie umowę ze Słowakami, gwarantującą szeroki samorząd, z Czech całe tłumy czeskich działaczy i zalali Słowaczczyznę urzędnikami z Czech — skierowano ich na Słowaczczyznę 40.000 — i gdy ci obcy językiem, obyczajami, a mianowicie husyckiem antykatolickiem usposobieniem, zaczęli uciskać i wysysać bardziej od Madziarów lud słowacki, szczególnie zaś zwolenników ks. Hlinki, udał się tenże do Paryża, by wyzebrać na podstawie dokładnego memoriału, popartego faktami, niepodległość dla swego biednego kraju i narodu. W Paryżu wysłuchano go z wielką uwagą, obiecano zbadać położenie na ziemi słowackiej, nigdzie jednak nie dano mu stanowczej obietnicy co do niepodległości Słowaczyny. A gwałty, rekwizycye, bezceństwa czeskich »braci« nie tylko nie ustawały, ale się potęgowały. Oto co pisze pismo czeskie »Nasze Slezsko« z dnia 22. października 1919, nr. 82 pod nagłówkiem:

»Tak Słowaczyny nie pozyskamy«: »Na Słowacznynie znajduje się przeszło 400 oficerów w śledztwie karnem za kradzieże, rabunki i inne podobne czyny. Był nawet wypadek, że oficer z rewolwerem w ręku wypędzał Słowaków z kościoła. Dziwicie się jeszcze, że ks. Hlinka jechał za granicę, by szukać ochrony i prawa u sprzymierzeńców ententy? Jeszcze się dziwicie, że Słowacy zaciskają pięści?«

Z początkiem października 1919. r. wrócił ks. Hlinka z Paryża do swej parafii w Rużomberku; miasto to przyjęło go uroczyście jak tryumfatora. Na tem przyjęciu wygłosił nieustraszony bohater-kapłan przemowę, którą zakończył następująco: »Wróciłem z Paryża z tem przekonaniem, że nie wolno nam się za żadną pomocą oglądać. Cześć nas okłamali, musimy sobie sami naszą wolność wywalczyć.« Kilka dni później aresztowały go władze czeskie jako »zdrajcę stanu« i osadziły bez wyroku w areszcie śledczym na Mirowie, przeznaczonym dla największych zbrodniarzy, których sądy skazały na podstawie rozpraw na długoletnie kary.

Jak się dalej stosunki na Słowacznynie ułożą, trudno powiedzieć. To jest pewne, że uwięzienie ulubionego, cenionego, prawie że ubóstwianego przez wierzący i narodowo uświadomiony odłam katolicki narodu słowackiego jeszcze bardziej pogłębi i rozszerzy przepaść między husycko-antykatolickimi rządami czeskiemi na Słowacznynie a ludnością słowacką. Dziś rządzi żołdak czeski na Słowacznynie; sytuacja dla Czechów jest bardzo groźna; tylko bagnet czeski wstrzymuje na razie żywiołowy wybuch patriotyzmu słowackiego. Duch ks. Hlinki nie dał ani nie da się zdeptać, ani uwięzić, ani uśmiercić. Posiew ofiar, poświęceń, prac tego męczennika za świętą sprawę wiary, wolności i języka wyda zapewne — choć może później — owoc. Zaświta dla Słowaków jutrzeńka lepszej przyszłości, o której śpiewa pieśniarz słowacki:

*Na Tatrach się błyska i pioruny biją,
Jedność bracia w czynie, bursa zwet przemienne,
Słowacy ożyją!*

Jeszcze rosną jodły na śnieżnym Kryzwanie,)
Kto prawy i Słowak, niech pośród nas stanie.
Słowacy ożyją!*

*) szczyt w Tatrach.



Powrót wojsk polskich do Cieszyna dnia 26. lutego 1919.

Życzymy temu sympatycznemu, do nas Polaków tak bardzo zbliżonemu narodowi słowackiemu, by się spełniły nadzieje, wyrażone we wierszu:

*Stoi jeszcze, stoi, Krywań nad Tatrami,
Będzie Słowak czem był między narodami!*



Gdzie będzie lepiej — w Polsce czy w Czechach?

Czesi zasypują kraj nasz całą masą gazet, broszur i książeczek, w których straszą nas Polską, a wychwalają pod niebiosa Czechy. W Polsce przepowiadają nam głód i niedostatek, w Czechach prawdziwy raj. Przypatrzmy się, jak się w rzeczywistości ta sprawa przedstawia.

Najpierw zaznaczyć należy, że do dziś dnia nie jest rzeczą pewną, czy Słowaczyna zostanie przy Czechach. Słowacy bronią się przeciwko temu wszelkimi siłami i przy najbliższej sposobności będą chcieli utworzyć własne, niezależne państwo. Dlatego też w poniższych obliczeniach jest osobno podana liczba, odnosząca się do Czech (t. j. krajów sudeckich bez Śląska Cieszyńskiego), a osobno liczba, odnosząca się do Słowaczyny.

Najpierw zapytajmy się,

które państwo będzie więcej znaczyło na świecie?

Niewątpliwie to, z którym się inne narody będą musiały liczyć. A to zależy bardzo od wielkości, od obszaru państwa. Czechy mają obszar, wynoszący 78 tysięcy kilometrów kwadratowych, a więc obszar, równający się byłej Galicyi. Słowaczyna rozciąga się na obszarze 60 tysięcy kilometrów kwadratowych, razem więc państwo czesko-słowackie ma 138 tysięcy kilometrów kwadratowych ziemi. Obszar Polski natomiast wynosić będzie 410 tysięcy kilometrów kwadratowych. Znaczy to, że

Polska będzie państwem 3 razy większem od Czech.

Ile ludności będą miały Polska i Czechy? Otóż według spisu ludności w r. 1910. miały kraje sudeckie 10,151.813 mieszkańców. W tem jest 334.000 ludności polskiej na Śląsku Cieszyńskim. Odjąwszy tę sumę, wypadnie, że w krajach sudeckich Czesi będą mieli 9,817.813 mieszkańców. Na Słowaczczyźnie jest ludności dwa miliony, razem więc w państwie czesko-słowackiem będzie 12 milionów mieszkańców. A w Polsce — 36 milionów!

Polska ma ludności dwa razy więcej niż Czechy!

Dobrobyt państwa zależy od tego, czy narody w kraju żyją zgodliwie, czy też ciągle się zwalczają. W Austrii były ciężkie walki narodowościowe, dlatego parlament nic nie mógł uradzić, wojsko było niejednolite, w urzędach byli obcy ludowi ludzie i t. d. Ta mieszanina zwalczających się narodów była przyczyną upadku Austrii. Otóż Czechosłowacya jest wierną kopią Austrii. Na 12 milionów ludności mieszka tam 6 milionów Czechów, Niemców blisko 4 miliony, Rusinów i Słowaków 2 miliony. Czesi mają tylko nieznaczoną większość. Innych narodów w swem państwie obawiają się tak dalece, że dotychczas nie przeprowadzili wyborów do swego sejmku w Pradze, czyli do Zgromadzenia narodowego, bo się bali, że z wyborów wyjdzie większość posłów nie-czeskich. Wszystkie narody, zamieszkujące Czechy, są z panowania czeskiego niezadowolone. Czesi dają się im porządnie we znaki, zwłaszcza Niemcom i nieszczęśliwym Słowakom. To też nic dziwnego, że te narody już dzisiaj dążą do tego, by się od Czech oderwać i utworzyć nowe państwo, albo przyłączyć się do państw sąsiednich.

W państwie polskiem natomiast jest na 36 milionów ludności 25 milionów Polaków, czyli 70 procent. Zaznaczyć przytem trzeba, że na wschodzie Polski katolicka ludność białoruska jest całym sercem za Polską, czyli że procent ludności, wiernej państwu, przez to znacznie się podnosi.

Polska będzie państwem jednolitem, państwo czeskie rozszarpia narody, które w niem mieszkają.

A jakże się przedstawia sprawa, którą dziś Czesi szczególnie podkreślają? Przepowiadają nam, że w Polsce będzie wieczny głód, zaś w Czechach wszystkiego pod dostatkiem! Zależec to będzie od tego, ile te państwa wogóle mają ziemi ornej.

Czechy mają jej 3,988.940 ha, na Słowaczczyźnie będzie jej około 1 mil. ha, czyli razem państwo czesko-słowackie ma ornej ziemi 5,000.000. Tymczasem sama Galicya ma ornej ziemi 3,800.000 ha, a całe państwo polskie 21,771.700 ha.



Tryumfalny wjazd wojsk polskich do Cieszyna dnia 26. lutego 1919 r. — Wielotysięczny zastęp
ludności wita entuzjastycznie wkraczającą zwycięską armię.

Ziemi ornej ma Polska 5 razy więcej, niż Czechy.

Zważmy dobrze, że Polska mieć będzie ludności 3 razy więcej, a ziemi ornej 5 razy pięcej, niż Czechy. Wynika z tego, że Polsce ziemi starczy dla wszystkich, podczas gdy w Czechach jej zabraknie. W Polsce każdy będzie mógł pracować na roli i uprawiać zboże, w Czechach tej roli będzie za mało.

A teraz zapytajmy, *które państwo ma więcej żywności? Polska czy Czechy?*

Weźmy pod uwagę cztery główne gatunki zbóż: pszenicę, żyto, jęczmień, owies. W r. 1910 urodziło się:

	w państwie czesko-słow.:	w Galicyi:	w państwie polsk.:
pszenicy	5,366.821 q	6,382.251 q	36,700.000 q
żyta	11,641.477 q	8,317.458 q	99,300.000 q
jęczmienia	9,494.146 q	4,299.123 q	28,500.000 q
owsa	9,260.241 q	8,435.085 q	53,800.000 q
razem	35,762.685 q	27,435.917 q	218.300.000 q

Widzimy więc,

że państwo polskie ma samej pszenicy więcej, niż państwo czeskie wszystkich zbóż, a żyta blisko 3 razy więcej,

niż w Czechach jest wszystkiego zboża.

A teraz ziemniaki! W państwie czeskiem urodziło się ich w 1910. r. 29,955.548 q, w Galicyi 64,831.058 q, w całym państwie polskiem 340,300.000 q.

Sama Galicya produkuje ziemniaków dwa razy więcej, niż Czechy, a państwo polskie 12 razy więcej.

Czesi mówią, że w Polsce będzie głód i niedostatek! Tymczasem w Polsce wypada na jednego mieszkańca rocznie zboża 6 q, ziemniaków 9.5 q; w Czechach zaś zboża tylko 3 q, ziemniaków 2.5 q. A dziennie wypada na głowę w Czechach zboża 0.80 kg, ziemniaków 0.70 kg; w Polsce 1.60 kg zboża, a 2.60 kg ziemniaków. Znaczy to, że w państwie polskiem przypadnie na głowę *zboża 2 razy więcej, ziemniaków blisko 4 razy więcej,* niż w państwie czeskiem. Co wobec tego sądzić o tych plotkach czeskich, że w Polsce nie będzie chleba? Niech sobie każdy sąd o tem urobi!

Jeszcze kilka słów o innych bogactwach Polski. Nafty i soli ma Polska tyle, że Czechy się żadną miarą z nią porównywać nie mogą. W Polsce mamy dużo żelaza, rud ołowianych, cynkowych, miedzi, siarki i wosku.

Chwałą się Czesi, że mają więcej cukru, niż Polska! Tymczasem jest to nieprawda. W r. 1910. było w Poznańskiem, Kongresówce, Prusach zachodnich i na Śląsku Górnym 123 cukrowni. Do tego należy dodać 137 polskich cukrowni we wschodnich czę-

ściach Polski (byłej gubernii kijowskiej). Tymczasem w Czechach wszystkich cukrowni było razem 132. A to dzięki temu, że rząd austriacki popierał ze wszystkich sił przemysł cukrowniczy w Czechach, aby mieć cukier na wywóz. Tak się stało, że fabryki cukru w Czechach powstawały za pieniądze, które ludy austriackie złożyły drogą podatku.

Cukrownie w Czechach zakładano za pieniądze polskie.

Zresztą: to, czego Polsce będzie brakować, to bez trudności dowiezie drogą morską przez Gdańsk. Czechy portu żadnego nie mają. Państwa, sąsiadujące z nimi, będą nakładały wielkie cła na towary, przywożone do Czech z zagranicy. Wskutek tego będą towary te o wiele droższe w Czechach aniżeli w Polsce.

Do każdego rozumnego człowieka przemówią te martwe liczby i zestawienia o wiele dosadniej, niż wszelkie mowy agitacyjne i broszury Czechów, w których oni twierdzą zupełnie przeciwnie, że w Polsce niema niczego, a w Czechach jest wszystko.

Już dziś jest w Polsce żywność tańsza, niż w Czechach, jeżeli zważymy kurs pieniędzy. A przecież w Czechach wojny nie było, nad Polską zaś szalała burza wojenna przez 5 lat i zniszczyła wszystko. Oficerowie wszelkiego pokroju wywozili wagonami żywność z kraju, a mimo to mamy jej dziś dosyć, ziemniaki nawet wywozimy tysiącami wagonów do Pragi i Berlina.

Kiedy się państwa centralne rozpadły, wtedy kto tylko mógł, wywoził wagony i lokomotywy z kraju, tak, że dziś ich manymało do przewozu. Dlatego dziś nieraz dają się nam odczuć braki w komunikacji. Kiedy się jednak stosunki naprawią, wtedy okaże się w całej pełni, że *Polska jest jednym z najbogatszych krajów. My tylko w Polsce będziemy szczęśliwi!*



Chłop a bezwyznaniowiec.

»Jakiejże wy religii?« — zapytał chłop śmieie
Jednego panka, co mu plótl ni to, ni owo.

»Ja« — rzekł mędrak — »wyznaję religię postępową:
Że człowiek żyje na to, aby jadał wiele,
Żeby się dobrze wyspał, miał kącik wygodny,
Żeby się dobrze bawił, był zawsze swobodny.«

»A to piękna religia« — odrzeczę chłop gniewnie
»Takich religiantów mam dwie sztuki w chlewie!«

Z chwili.

*Stoimy wszyscy dziś jak na wulkanie,
Niepewni jutra, jakie jego dzieje:
Czy nam otuchę, czy rozczarowanie
Wschód słońca w dusze podniecone wleje,
Czy nas uśmiechem nie obdarzy szczerze
Lub nitek szczęścia czy zdradnie nie podrze.*

*Bo niepewności by zmory nas męczą
I sen spędzają ze znużonych powiek,
Szczęścia przebłyski drą by nic pajęczą; —
Czy dziś żyć warto, — pytać musi człowiek:
Rankiem nadzieja, wieczorem zwątpienie,
Ludzie się wloką jak z za grobu cienie...*

*Lecz jedno krzepi wśród zwątpień czeluści,
Ze Matka Polska nas już nie opuści...*



Jura i Jónek.

Jura: Som my tu posłani po winszu do was, roztomili ludczkowie. Tuż wom z całego serca winszujemy zdrowi, szczęści, święte Boski pożegnani na tento nowy rok, ale nie jeny na ten rok, ale na mnoho lot.

Jónek (mruczy): Djaska ich tam bedzie mnoho, kie to wszycko pomrze od głodu i biedy...

Jura: Cicho bedziesz. Zaś zaczynosz napalować i przeruć? Ja, tuż aby sie wom darzyło w kumorze i oborze, na polu i w piwnicy, na waszej czeladce, na waszych dzieciach, co by was i nas Pónboczek raczyli opatrzyć od wszelakich nimocy, od głodu, moru i ognia, by my ten rok przeżyli w szczęśliwości i spokojności, by už roz ta przegrzeszono wojna sie skończyła, byście wszyacy za Polską przy lepiscypie głosowali, by nasze polski Śląsko było do Polski przydzielone i by my sie wszycy do gromady mieli tak, jak w niebie anieli, co to oko nie widziało, ucho nie słyszało, dō serca ludzkigo nie stąpiło. Amen.

J ó n e k: A teraz, kie už telkowne czasy kole was ludkowie chodzemy, kany jeny co złego, to przeciw temuwywstowony, prowe každemu wlepiemy w oczy, nom też dejcie jaką mało wielką wysłóžke abo kołede, po kašku kołocza, babki, po pecenku chleba, po kłopciu szpyrki, po pół kopy wajec i co mało wela liznyć, czy warzonki, czy kapke herbaty z romem, bo nami zima pytluje, najedli my sie tego zimnego wiatru, a jeszcze mamy daleki chodnik. Niž wszyscy dziedziny obeńdemy, bedzie hola po trzóch królach.

J u r a: Synku, ty nie znosz moresu, tak sie bez gańby uwzi-mać, dyć ci ludzie wiedzą, co sie patrzy, jak tak bedziesz wy-chciewoł, to z tobą nie chodzę.

J ó n e k: No, no, jakiś naroz upchliwy. Jo každemu walę prosto z mostu, dyć dzisio zadarmo ani pies nie szczeko. Tu wi-dzę je przemoga, wszyckigo do Boga, tuż czemu by nom nie dali co sie patrzy? Widzisz, jaki už hynaj gaździno pytel dlo každego z nas gotuje. Pónboczek wom też zaplać! Bywejcie tu zdrowi!

J u r a: Jednak mosz niewyparzoną gębe. Prowda, choćby my tego nie wypyтали dlo siebie, bo chwała Panu Bogu mamy po teraz co jeść, kany mieszkać i w czem chodźć, to je tej uboży dzisio tela, że sie to przydo rozdać między tych chudobnych, niech też wiedzą, że są święta.

J ó n e k: Obezdrzyłeś sie tam po tem stawieniu? Joch wszędzi zagładnył, hruza bije, taki nierzad. W sieni błota na dwa palce, rozmańtych hobów i zdziorbów, żeby se jeden nogi na tem połomoł, tu žber ze świńskim jodłem, tam tłóczek na puczeni rzepy, miechy porozchybowane, mietła na postrzód sieni, hul Jobych tego nie cierpioł ani minuty.

J u r a: Jako se ty na wszycko dosz pozór.

J ó n e k: Bodejeh nima ślepy. To synku hnedziusko czło-wiek pozno, jak wlezie kany do sieni, jaki tam gazda abo gaź-dzino. W izbie też tam taki nierzad; delówka czorno, łóžka nie-porząćnie posłane, cychy umrusane jak bót a potargane, przeca wody je jeszcze zatela, mury czorne, na ławie widziołech wszycko porozciepowane, na izbie pełno kramu, — ni, to je gańba, a zdo sie, że to przeca lepszo familija.

J u r a: Bai, boch o mało na izbie nie przypod głowy na cu-klach, na ławie leżoł bruclek gazdów, wedla tego jakla, dali nie-wyprano koszółka, w kącie tako kupa horów rozmańtego braku, pod ławą pochynione bóty od błota i za przeproszeniem od koby-liniec i gnoja, już to tak tam możne leżało od Michała taki przy-skrzane, taki kram i nieporządek, wiecie ludkowie, to je gańba.



Imieniny Naczelnika Piłsudskiego w Cieszynie w r. 1919. — Uczestnicy, biorący udział w polowej Mszy św., odprawionej przez ks. kap. Proksza przed koszarami.

J ó n e k: No, a obrozki widziołeś na ścianie? Ty już nie widziały handry pore pięknych roków, taki szure, jeden cihi, drugi heta, po kątach łacne firanki, co pon pajak zadarmo zrobili, a powietrzy geste i zgniłe, żeby tam kij stanył. Ci ludzie muszą nie otwierać okien przez cały boży rok.

J u r a: Toć ni, dyć były przybite gwoździami z pola, między oknami rzoż, bo rzeczy nie bedemy polu topić, a dwierzy też nie pozwolą otwierać, by ciepła nie puszczac na pole. Jobych w taki kuczcy nie mieszkoł, choćby mi nie wiem co doł.

J ó n e k: Ja, a jekechmy siedli ku stołu, dziwom sie, cosi mi lezie po kabocie; na mu weru, tako płuszczycyca jak członek, pozdrzył ech za siebie, to ci za romami w oknach siedziały całe regementy tego plugastwa. Hnet ech też stowoł, by tego nie nabrać na sie, bo my z tem świństwem momy doma chwała Bogu święty pokój. Jak całe ty hórny płuszczyc wyruszają w nocy na wojne, to to musi żrać i i gryść! Na zdrowi! Tego tam bedzie tysiące a tysiące we futrach, w łózkach i w rozmańtych szparach.

J u r a: Bez tego jak żyw nie wyporządzą porządnie łózek, nie obielą ścian, tuż sie tego tela napłagnie. Toby se człowiek nie pomysłoł, ona tako fajnula, gażdżino, niemal że imościnka, a taki kram w chałupie.

J ó n e k: To tak zaobycz bywo. Wieszo na siebie rozmańte nowomodni kramy, jeny mo dycki w głowie parade i taką głupią hyre, tuż nimo czasu patrzyć porządku.

J u r a: Joch sie też dziwoł: mały synek w zrośłokach ze sznuptychlą, boskem, a je przeca zima, świeczki pod nosem, włosiska rozczochrane, ududany i ufultany po gębie, że mu jeny było oczy znać, nożyska nie myte kiesi od lata, tela na nich szpinu, żeby tam móg rzepe sadzić, koszula pod karkem potargano, palec w gębie. Pomyślołech se, taki porządek, to ani z kopca nie ciśnie.

J ó n e k: Dyć ci prawie, kie mo ta gażdżino mieć na to czas? dziecka sporządzić, oprać, troche okrzosać, by nie były taki buboki, w izbie poskludzac, kie jeny goni po czakaczkach i muzyczyskach, jeny sie stroi i wymyślo jakisi nowe mody? Borok chłop, boroki dziecka.

J u r a: No, oto drugo chałupa, też tu musimy wstąpić. Teraz heesz ty winszowol.

J ó n e k: O mnie, za mnie. (Wychodzą.)

J u r a: To ja; tu to to nadobrze inaczy wyglądo, jak w kościele. Chałupka mało, ale aż radość sie podziwać. Sień wymyto, umieciono, czyściutko, w izbie wszycko na swoim miejscu. Dzieci też taki, aż sie świeciły po gębie, nie taki buboki, pięknie przy-



Przejazd wojska polskiego do Cieszyna dnia 26. lutego 1919 r.

witały, chłop pod kolnią przy strugacej stolicy, baba przy cero-waniu pończoch czy łotaniu szaciąt, izba wybielono, widać, że tam je gaździno na fleku. Szkoda, że my też nie poszli zazdrzyć do chlewa na statek. Tam też isto było wszycko jak sie patrzy.

J ó n e k: Czujesz? Mie sie zdo, że kansi niedaleko muzyka rznie o sto sześć.

J u r a: Oto tam za tym chrostem je karczma, to tam isto jakisi hałdamasz. Wleżemy tam na wybleszczki. (Przychodzą.) Panie sie smiuj, toć tu norodztwa, jak kasze w garcu, ponikierzy bai dziecka zebrali ze sobą, ty sie tu pieknych kąsków nauczą, o ja!

J ó n e k: Siednemy se hynej ku temu stołu, kożemy se po szklonce piwa, przyzdrzymy sie na chwilke, nas ozo nie poznają. Dziwej sie, hynej ten młodziok, jeszcze mo mokro za uszami, jak se poczyno. Rypnył stówką przed muzykantami, rzeczy: grejcie grożonego tak długo, aż całą te stówke przegrocie, roz sie aspoń chcę wyskokać jak sie patrzy, hulej duszko pekla neni, uiiiiii...

J u r a: To musioł kansi łacno przyjść ku takim hrubym pi-niądzom, kie tak nimi mie nic tobie nic rozciepuje. Ale musi to być kęs grondola. Czopczyško na uchu, už sie mu nogi szolontają, musioł ten tego rozmańtego trónku wloć forot za jaśle. Ale dości ty dzieuchy se statkują, żodno nie chce s takim tańcować, ... oho-dyć už je przy dwierzach, par jeny, už sie bije... ale dostoł kry-glem po głowie, dziwej sie, jak mu krew bulko z głowy. Taką szpyre odwaloną, mō pieknego grożonego na pamiętke.

J ó n e k: A ten świat taki, jakby przygłup, zwyrce, zwyrce fórt dokoła, jak sie tak krzyżby człowiek temu wszyckimu przyzdrzy, to se musi rzyc: są jednak ci ludzie błoźni: tak sie toczyć, łokciami sturkać, po nogach deptać, tak ten kurz dychać, dyć sie jeny podziwej kiela nad głowami prochu, jak dyby hato-mobil przejechoł w lecie po cysarski. Tak sie po nich leje, jak we żniwa przy nejwiększej pilobie, ale to nic, zaleje ten żyzeń tą daremną brędą a zwyrce dali, a pogrožo jeden drugimu, toć przeca błoźni.

J u r a: Jo prawie, jak sie tak człowiek temu przyzdrzy, toby se isto myśloł, że je w Łopawie w tym istym domie... Przeca sie ta grożono kumedyj skończyła. Muzykanci wypultli z trąbów, co tam naduchali, odmoczyli dychacz, dyć gichają piwo jak do pidła, podziwej sie ten jeden, co trąbi na tej wielki trąbie, ten duszkiem wypił cały krygiel, a už zaś gdosi kozoł wytrąbić soló a jeszcze ku temu kołomajki. Kieryż to? Możem rzyc, pierwszy radni, chłop obstareźny, už mo dzieci na swoim chlebie, biere do

tańca taką młodą dzieuche i skocze jak opętany. Ludkowie złoci, jak tacy głupni, to už świat nie bee długo stoł.

Jón ek: Jo sie hynej temu gazdowi dziwom. Za ten krótki czas już piątą szeroką kwitulę wioł do chomata, ten mo milijon-ski spod, toć miech bezedna, a už go musi mieć, bo gęba otwarto, už ani fajfką ni może trefić między zęby. Brr! Mie sie to wszycko tak zdo, jak dyby sie czasy przed potopem wracały. Tela biedy, głodu, nędzy, nima co razinku do gęby wrazić, ale dzisio hój, jutro stój. Pódz, pódz od taki branże, mie aż otrzepuje, co sie mi to tak brzydzi. Zapłaćmy to, a wio dali. (Odchodzą.)

Jura: Mosh recht. Hańdowni, to sie noród inaczy bawił. Nie chcę ci ani wykłodać, coch tam widziol w sieni i na placu, sodoma i gomora, a ojcowie tak puszczaą cery i takich gibczoków samopas, pozwalają na ty muzyczyska, a tu sie robi taki piekło. Nie nadarmo nas Pónboczek korzą, ale noród se tego nie wszymnie, jeny dali dokazuje. Chwała Bogu, że my sie tam stela wydostali.

Jón ek: Słyszysz: Co sie to robi? Taki trzask! Jakby z moździerzy strzeloł.

Jura: To isto tańcują trampla, osmól ich, pódz, raczy•bedemy se wykłodać bojki i godki, by przyjsc na insze myślonki. Powiedz mi, wiela gwoździ trzeba dlo dobrze podkutego konia?

Jón ek: Ze sztyry.

Jura: Ale ba, żodnego, jak je dobrze podkuty.

Jón ek: Poczkej, teraz mi ty zgodzesh: Co to je: je to czorne, loce w powietrzu, mo dwie nogi i krzyczy: kra, kra?

Jura: Och, to każdy wie, na wróna.

Jón ek: Dobrze. A co to je? Je to czorne, loce w powietrzu, mo sztyry nogi i krzyczy: kra, kra?

Jura: Cóż też to może być za zazrak?

Jón ek: Tego nie wiesz? Dwie wrony.

Jura: Basama. A co to je? Je to czorne, loce w powietrzu, a mo sześć nóg?

Jón ek: Trzy wróny.

Jura: Oho, na mucha. Powiedz mi, gdo mo nejąłpszych ojców?

Jón ek: Toby jeden musioł znać wszyckich ludzi, tej godki by ani salamon nie zgodol.

Jura: Tego nie wiesz? Ciele, bo ojcem jego wól, a matką krowa.

Jón ek: Teraz mi też powiedz, jaki jest rozdziol między stołkem a mrowiskem?

Jura: Na stołku nima mrowców, a na mrowisku są.



Gen. Haller na Śląsku; po powitaniu na dworcu cieszyńskim (dnia 12. czerwca 1919)
zdąża gen. Waller do automobilu.

J ó n e k: Ha, ha, ha, siednij se na mrowisko, to poznosz.

J u r a: Tyś je milioński miglanc, kaj sie ci to biere, to truc nieboszczyka Świeżygo, ten też to umioł tych rozmańtych konceptów, bojek i godek na sta Kiere owady są nejwytrzymalsze?

J ó n e k: Isto mrowce, boch kiesi czytoł o nich piękna historyje, jak jeden wynoszoł zorko 99 razy, aż go wyniośł na jedną kępke.

J u r a: Ale ba, błechy, być bai w zimie skoczą w koszuli. — Teraz mi zgodej: czemu wół idzie na prawo, jak zawołosz noń heta?

J ó n e k: Nie wiem.

J u r a: Tego nie wiesz, na dyć to wie każdy wół!

J ó n e k: Jako je różnica między osłem a koniem?

J u r a: Jeden mieńszy, drugi więkzy, jeden mo długi uszy, drugi krótki.

J ó n e k: Fulu, trulu, na koniu już niejeden osieł jeździł, ale na osłe jeszcze żoden koń.

J u r a: Toć sie ci to sypie, coroz to lepsze. Jeszcze jedno, a potem pujdemy, bo sie śmiewo, a do chałupy kęs chodnika. Kiery zwierz se nejbardzy poczyno?

J ó n e k: Pow.

J u r a: Aler ba, kohót, bo nosi dycki grzebień przy sobie. Ale teraz już tego na dzisio dość, jeny jeszcze cosi do śmiechu.

J u r a: Ale hónem, aby sie zaś staro se mną nie jeschzyła.

J ó n e k: Przyszły roz do fojta dwie baby: Chybino i Gremkula, z gęsią w pytliku, wrzeszczały, doskakowały do siebie i kaźdo tuplowała, że ta gęć ji patrzy. Chciały aż to fojt rozsądzi.

J u r a: Ba szmaka, to lagramencki zadani.

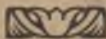
J ó n e k: Fojt poszedł do głowy po rozum i pytò sie: wy, Chybino, je ta gęć Gremkulina? Chybino prawi: Kataćeżtam. A wy, Gremkulo, rzeknijcie — pytòł sie fojt dali — patrzy ta gęć Chybinej? No to sie wie, że Gremkula odpowiedziała: Jak żyw nigdy ni. Fojt se prawi: tuż jak ta gęć nie jest wasza — i pokozoł na Chybiną — ani wasza — tu zaś pokozoł na Gremkule — to jest moja. Zawołoł chłapca, rzecy: Jędrys, zanieś gęć mamie, niech ją hnet zabiją, bedemy mieć fajną pieczonke. Baby w lament, wpadły se do kudeł, wadziły sie, ale gęć poszła pod nóż i na brutfane i fojczek se pojod fajnej pieczonki.

J u r a: Toć miglanc z chłopa. Pięknie sie nom chodziło, wół co my widzieli, na podrug i zaś tak.

Jestem Polakiem!

*Jestem Polakiem, polską mam duszę
I polskie serce w mej piersi bije.
Polską krew, polskie nazwisko noszę,
Z polskiej żem ziemi, wyrósł i żyję.
Polak mię ojciec, matka zrodziła,
Piers swą za pierwszy pokarm mi dała,
Polskim pacierzem mówić uczyła,
Polską mię pieśnią wykotysała.
Jestem Polakiem, po polsku czuję,
Kocham nad życie polską Ojczyznę,
Wszystko, co polskie, kocham, szanuję,
Jak drogą świętą, ojców spuściznę.
Jestem Polakiem! Do mnie należy
Przeszłość i przyszłość, mojej Ojczyzny
Chętnie za wolność, Polski Macierzy
Oddałbym mienie, życie, krew, blizny.*

Jantek z Bugaja.



Organizacya współdzielcza i jej znaczenie dla nas.

Niejednemu z nas utkwiło w pamięci opowiadanie, posłyszane w szkole ludowej o ojcu, który, czując zbliżającą się śmierć, zawołał swych synów do łoża i kazał im złamać kilka prętów związanych razem. Żadnemu z synów sztuka się nie udała, ojciec jednak, choć śmiertelnie słaby, rozwiązawszy sznur, łączący pręty w jedną całość, z łatwością łamał luźne pręty jeden za drugim. Ojciec umierający wysunął też odrazu naukę z tego dla swych dzieci, mówiąc im: »Trzymajcie się kupy, pracujcie razem, wspólnie i zgodnie, a żadna moc ludzka was nie złamie; gdy jednak niezgoda was rozłączy, wtedy pamiętajcie, doznacie losu tych oto luźnych prętów«!

Nie pojmovaliśmy, będąc w szkole, głębokiej prawdy życiowej, zawartej w tej prostej powiastce, dziś jednak, gdy życie



Gen. Haaler na Śląsku; przegląd wojska.

coraz to nowe zadania przed nami stawia, gdy widzimy, że nasze słabe siły nie podolają tym rozlicznym wymogom naszych skomplikowanych stosunków społecznych, jesteśmy przekonani, że tylko w łączności z naszym bliźnim, wspólnemi siłami zdołamy coś osiągnąć, że, próbując swego celu dopiąć osobno, ulegniemy w nierównej walce.

»Gromada to wielki człowiek,« mawiał jeden z naszych niestrudzonych pracowników na polu naszego odrodzenia narodowego na Śląsku. I zupełną miał słuszność. Gdy chcemy bowiem jakiegoś na większą skalę zakrojonego dzieła dokonać, musimy się zawsze za pomocą naszych bliźnich oglądać, jeżeli nam zależy na tem, by to dzieło widzieć jeszcze za życia ukończone. Pojął wartość współpracy już człowiek pierwotny, szukając oparcia w walce z otaczającą go przyrodą; starożytne państwa, jak Egipt, Assyrya, Fenicya, Grecya, imperyum rzymskie miały bardzo wysoko ujęte pojęcie współpracy w organizacyi, jak o tem świadczą przechowane do naszych czasów zbiory praw tych państw. Średnie wieki licznych bardzo dostarczają nam przykładów wytrwałej i świetnymi wprost skutkami uwieńczonej współpracy, choćby tylko wspomnieć o wspólnych wyprawach Krzyżaków do Ziemi świętej z jednej strony, a ogromnych, współpracą zdobytych bogactwach miast hanzeatyckich z drugiej. Cechy rzemieślników, jak n. p. piekarzy, szewców, krawców, rzeźników również opierały się na zasadzie współpracy, normując przytem podaż towarów i ich wytwarzanie przez poszczególnych majstrów, do cechu należących. Dzisiejsze skomplikowane życie wytworzyło niezliczone prawie formy współpracy, dążące przede wszystkim do wyzwolenia człowieka z pod panowania wielkiego i bezwzględne go kapitału.

Kapitał ten legł całym swym ciężarem na współczesnem życiu gospodarczem, przygłuszając i tłumiąc wszelkie jego wolniejsze przejawy. Krew wsysa powoli a stale z naszych żył i siły nas pozbawia, obejmując w potworne spłoty swego ciała olbrzymiego coraz to nowe ofiary. Trusty, kartele, najrozmaitsze syndykaty — oto zorganizowany kapitał — kapitał najzaciętszych naszych wrogów, który stanął już do walki z nami, z naszym społeczeństwem, z naszym ludem, z naszą przyszłością, dążąc do jednego celu, t. j. by nas uzależnić od swej wytwórczości, by móżdż, skupiwszy produkcję i jej rozdział w swoim wyłącznie rękę, niepodzielnie zapanować na rynku światowym i dalej paść się naszym potem, naszą krwawicą, naszym mozolnie zdobytym groszem. Zdawałoby się, że nic nie wskóra lud słaby ekonomicznie przeciw tym olbrzymim, a nadto zorganizowanym kapitałom,

które znalazły się w ręku jednostek bezwzględnych i nie oglądających się w walce na żadne prawo; a jednak istnieje możliwość ratowania się, wymknięcia się z uścisków kapitału obcego, żydowskiego, niemieckiego i t. d., a ratunek, rzecz dziwna a prosta — leży w nas samych.

Zrozumiał to już dawno, bo już w latach pięćdziesiątych ubiegłego stulecia lud angielski, który, chcąc podjąć walkę z obcym kapitałem a nędzą własną, zorganizował sklepy spożywcze, — zrozumiał to wkrótce potem lud francuski, belgijski i t. d., pojęli to również rychło nasi bracia Poznańczycy, którzy pod podwójnym ciężarem cierpieli, gdyż sprzysiągł się na nich i rząd i kapitał prusko-żydowski, by im ziemię od ojców wydrzeć — i zorganizowali związki współdzielcze, sklepy spożywcze, skupili się wszyscy, by skuteczną móżdź podjąć obronę swych przyrodzonych praw i najświętszych uczuć miłości ojczyzny. I obronili siebie, obronili swoje dzieci, zdobyli własną pracą i tężyzną osobistą dla siebie przyszłość, nam zaś wskazali drogę, na której mamy kroczyć, by i z naszej strony podjąć za ich przykładem skuteczny odpór przeciw zalewowi, który nam grozi ze strony naszych wrogów, żydów, t. z. ich kapitału i ich bezwzględności. Bo popatrzmy, co się dzieje w naszych oczach. Fabryki, sklepy, składy z niewielu wyjątkami to własność naszych najmlodszych, po wsiach rozsiedli się w szynkach i sklepikach także oni lub gorsi od nich nieraz domorośli lichwiarze, którzy niby olbrzymie pająki-krzyżaki coraz to nowe ofiary zagarniają w swe sieci. W ten sposób ubożeje ogół społeczeństwa, w taki sposób demoralizuje się coraz to więcej jednostek, które wstępują w ślady owych pajaków, tak powoli lecz stale zdążamy do nieuchronnej zguby materialnej i moralnej.

Aby jej uniknąć, musimy podjąć natychmiastową a energiczną, przytem zaś dobrze obmyślaną i poprowadzoną obronę. Bronią zaś naszą z natury rzeczy musi to samo, czem nas biją nasi wrogowie, nad którymi górować będziemy i siłą i przewagą słuszności naszej sprawy. Organizować nam się konieczne trzeba w związki zawodowe, stowarzyszenia kupna i sprzedaży, spółki najrozmaitsze, a przedewszystkiem spożywcze, słowem stanąć śmiało do walki z tym wrogiem, który nam grozi zagubą, wytrącić mu tę broń z ręki, którą on nas dotąd trzymał w upokarzającej zależności od siebie. Zrozumieć to winni wreszcie nasi rolnicy, że tak dalej absolutnie być nie może, jeżeli chcą przekazać swą w pocie czoła obrabianą rolę swoim dzieciom, winni pojąć, że już minęły te złote czasy, kiedy chłopiek mógł w spokoju palić fajkę, prowadząc pług; dziś tysiące przeciwnstw



Gen. Haller na Śląsku ze świtą oficerów,

go czeka na jego drodze, dziś prawie każdy potrafi oszukać łatwowiernego włościanina czy na towarze łokciowym, czy na innym, słowem człowiek ten stracony, bo jest sam, nie ma znikąd poparcia, nikt go nie obroni.

Dopiero, gdy wstąpi w szeregi organizacji zawodowej, znajdzie i obronę i poradę, dopiero gdy przystąpi do założenia spółki spożywczej w swej wiosce, gdy założy hurtownię w swoim mieście, wtedy dopiero będzie mógł swobodniej oddychać, nie potrzebując się obawiać zasadzki, bo sklep, w którym kupuje, jest jego, bo w razie pokrzywdzenia stanie za nim cała brać włościańska, w tej organizacji skupiona.

Ta organizacja zawodowa uczy go, jakie i jak stosować nowe nawozy sztuczne, jakie i skąd sprowadzać nasiona, jak uprawiać rolę, jakie hodować bydło i jak je spożytkować najkorzystniej i t. d., organizacja przedstawia więc całą sumą korzyści za stosunkowo bardzo małą opłatą, która potrzebna jest na utrzymanie biur, do wydawania pisma i prowadzenia innych agend. Im zaś więcej członków liczy taka organizacja, tem jest silniejsza, tem śmielej występować może w obronie interesów zawodowych; leży przeto w interesie rolników samych, by szeregi ich organizacji zawodowej były jak najliczniejsze, by nie było ani jednego rolnika, któryby był poza ramami organizacji zawodowej. Weźmy sobie przykład z naszych braci Poznańczyków, którzy dziś i pod tym względem całej Polsce przodują. Łączmy się w imię obrony naszych interesów, w imię postępu i kultury!

W organizacji zawodowej znajdziemy obronę swych interesów zawodowych, dążąc zaś do poprawienia warunków materialnych, zakładać musimy u siebie sklepy społeczne czyli t. zw. spółki spożywcze. Korzyści takiej spółki, dobrze i sumiennie pod nadzorem wybranego przez członków zarządu prowadzonej są olbrzymie. Nie tylko, że kupujemy niejako u siebie — sklep opiera się na naszych udziałach, — że więc zysk czysty wraca do nas, podczas gdy zwykle tonie w kieszeniach kupców niezawsze sumiennych, ale dostajemy tam towar tańszy, pod gwarancją, wagę rzetelniejszą, obsługa grzeczniejsza i t. d., a co najważniejsza, sklep nasz uniezależnia nas od całej falangi wyzyskiwaczy, którzy z góry nas zawsze traktując, wyzyskiwali nas niemiłosiernie. Kupowanie w spółce spożywczej za gotówkę, co zastrzeżone jest zawsze statutowo, nauczy nas żyć oszczędnie, nauczy nas budować, jak to mówią, wedle stawu groblę. Nie będzie więc potem długów po sklepach, długów nieraz pokrytych i upokarzających.

Założenie i utrzymanie takiej spółki spożywczej nie jest rzeczą trudną przy dobrej woli i świadomości celu. Nie śmiemy zapominać, że ten sklep społeczny, to dobro wszystkich, że wszyscy mają obowiązek czuwać nad jego rozwojem, a przedewszystkiem wybrana przez walne zebranie członków rada nadzorcza. Zresztą odsyłam czytelników, chcących założyć u siebie spółkę taką, po bliższe informacye do Towarzystwa rolniczego lub do Związku Spółek rolniczych.

Czas najwyższy, byśmy się ruszyli, byśmy sami zaczęli myśleć o sobie, sami pracować nad swoim dobrobytem, nad poprawą swego losu. Możliwe to jest, jak widzimy, jedynie drogą współpracy z braćmi naszymi, z bliźnim naszym. Łączmy się więc, organizujmy się, dopóki jeszcze nie zapóźno, pracujmy zgodnie, ufnijmy w swoje siły, w siły ludu pracującego na roli, nie odtrącajmy i tego najmniejszego, owszem starajmy się go przygarnąć jak brata, idźmy naprzód, oświatę niosąc przed sobą i dobrobyt, a Bóg naszej pracy, naszym poczynaniom pobłogosławi, Bóg nam Swej pomocy nie odmówi.

J. B.

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Gdyś wszystko stracił i nic nie masz, wtedy się dowiesz, coś wart.

* * *

Cudza własność jest pokarm smaczny ale niestrawny, który po ciężkich boleściach oddać trzeba.

* * *

Jak mucha nieproszona leci do potrawy,
Tak i natręt do każdej rad się miesza sprawy.

* * *

Gdy wdzięcznemu człowiekowi zrobisz co dobrego, zawsze ma dosyć lub za wiele; niewdzięcznemu nigdy dosyć.

* * *

Wiara jest dla rozumu, czem dalekowiedz dla oka. Uzbrojone nim oko widzi daleko więcej, niż bez jego pomocy. Gdy więc kto mówi, że wiara sprzeciwia się rozumowi, to jakby mówił, że teleskop sprzeciwia się wzrokowi — owszem, on mu pomaga.



Gen. Haller w otoczeniu sztabu.

Do słońca!

Nadzwyczaj trafne uwagi czytałem niedawno w pewnym piśmie:

»Podczas tej światowej krwawej wojny pokazało się jedno, że wszystkie fortece, wszystkie obronne twierdze nie są zdolne oprzeć się ludzkiej potędze i że mając ich dużo i niby dobrze obwarowanych, jeszcze się nie jest pewnym. Pokazało się, że mur dzielnych piersi ludzkich jest największą potęgą i że poza wszelkim materiałem ludzkich wynalazków wojennych potrzeba ludzi z rozumem, ludzi mądrych, którzyby nie tylko umieli skutecznie walczyć i zabijać, ale którzyby dali narodowi sposób do życia, którzyby dali światło wszechstronne narodowi, bo juścić z głupotkami nikt się liczyć nie będzie, bo tacy mogą wiele zburzyć i zniszczyć, ale zbudować niczego nie są zdolni.«

Któż tym słowom nie przyzna słuszności? Toteż każdy, kto ma oczy otwarte i widzi, co się dziś na świecie dzieje, dąży do tego, aby wszędzie powstawały towarzystwa oświatowe. Bo oświaty nikt nam nie może wlać do głowy. My sami musimy ją zdobyć. Musimy się często zbierać, zapraszać ludzi mądrych z wykładami, zakładać biblioteki, abonować odpowiednie gazety i t. d. — jednym słowem musimy należeć do stowarzyszenia oświatowego.

Gdzie te stowarzyszenia są najpotrzebniejsze?

Jeżeli chcemy wielkich rzeczy dokonać, to musimy zacząć od najłatwiejszego. Do oświaty, do stowarzyszeń garnie się najmłodsza młodzież. Ona też prawdziwej oświaty, zwłaszcza w dzisiejszych czasach, najbardziej potrzebuje. Skutki długiej wojny znać zwłaszcza na młodzieży. Zabrakło ojca w domu, nauczyciela w szkole, młodzi chłopcy i dziewczyny, nie czując nad sobą silnej ręki, zaczęli gonić za zabawami. Na wojnie młody żołnierz widział zazwyczaj tylko zły przykład. Z wojny wrócił nieraz utraciwszy wiarę i wszelkie wyższe uczucia. Na wojnie nauczył się cenić tylko karabin i siłę, to też dziś jest często grubiański, nie uznaje cudzego zdania, chce wszystkim rozkazywać, a nadewszystko bawić się, o rzeczach poważnych nie chce ani słyszeć. Strach ogarnia człowieka, jeżeli pomyśli, że z tych młodych ludzi mają wyrość nasi wójtowie i radcy gminni! Młodzież potrzebuje dziś szczególnej opieki. Muszą powstać stowarzyszenia, któreby tę młodzież łączyły, niosły jej prawdziwą oświatę

czy to przez wykład, przez dobrą książkę, czy gazetę i — go-
dzi w ją rozrywkę, bez której się wiek młody nie obejdzie.

Niemniej ważne są stowarzyszenia oświatowe wśród r o b o-
t n i k ó w. Nowe czasy przyniosły robotnikowi poprawę bytu.
Niestety nie wszyscy robotnicy poprawy tej używają na swoje
dobro. Jedni zapatrzeni tylko w zimny pieniądź, idą ślepo za
tymi, którzy im go obiecują, bez względu na to, czy się to godzi,
czy przez to poniosą olbrzymią szkodę na duszy, czy wskutek tego
nasz kraj i naród stanie nad przepaścią. Inni używają zarob-
ionych pieniędzy na to, by dogodzić swemu ciału jak najwięcej.
O potrzebach duszy rzadko kto pomyśli. A czyż robotnik nie ma
takiego samego prawa do oświaty jak każdy inny? Dziś mówi
się tyle o równości. Dobrze, niechże więc każdy ma nie tylko
równe prawa, ale też i równe obowiązki. Robotnik ma taksamo,
jak każdy inny człowiek, obowiązek kształcenia i oświecania się.
Tylko wtedy będą się z nim liczyli, gdy będzie mądrym. Siła
muszkułów dobra jest w pracy, ale do życia codziennego potrzeba
nam rozsądku i kultury. To zdobędziemy, robotnicy, tylko
w stowarzyszeniu oświatowym.

A kobiety? Otrzymały po wojnie wielkie prawa. Będą
głosować na posłów do sejmu, będą wybierać urzędników w gmi-
nach, nawet samego naczelnika państwa. Każdy dzień rodzi tyle
aktualnych spraw, których człowiek nie rozumie. Jakie tu stano-
wisko zając, jak złemu zaradzić? Na to znajdzie niewiasta od-
powiedź tylko w stowarzyszeniu oświatowym.

Zakładanie stowarzyszeń oświatowych jest konieczne.

Są ludzie, którzy sądzą, że najważniejszą rzeczą w życiu
człowieka jest: dać mu kęs chleba do ręki lub podwyższyć jego
zarobek. Powstały więc związki z a w o d o w e, które mają na
celu wywalczenie pojedynczym stanom poprawę bytu. Są tacy,
którzy sądzą, że sprawy polityczne są najważniejsze. I
w rzeczy samej każdy z nas powinien należeć do organizacji za-
wodowej i do organizacji politycznej. Ale niezmiernie ważną
rzeczą jest, by należeć także do organizacji oświatowej. Na ze-
braniu związku zawodowego omawia się dola robotnika. Radzi
się nad tem, jak otrzymać godziwą zapłatę, godne ludzi mieszka-
nie, jak usunąć nadużycia w fabrykach i na folwarkach i t. d. Na
zebraniach politycznych będziemy się zastanawiali nad tem, jaki
jest porządek w państwie, jaki rząd, jacy urzędnicy, jakie ustawy
i będziemy dążyli do poprawy. Ale my mamy tyle innych spraw,
które krzyczą o to, by się nimi zajęto. Gdzież znajdziemy odpo-



Generał Haller na Śląsku; defilada wojsk przed gen. Hallerem.

wieść na pytania i szyderstwa, jakimi obrzuca codziennie świat każdego wierzącego człowieka? Na kazaniu? — nie zawsze; w swej własnej głowie? — ta już dawno katechizm wypociła. Odpowiedź taką znajdziemy tylko w stowarzyszeniu oświatowem. Tam usłyszymy wykład, możemy się po wykładzie zapytać o wyjaśnienie. Tam objaśnią nam w wykładach tyle innych rzeczy, które nas na świecie otaczają, a których my nie rozumiemy. Tam poznamy dzieje świata i naszego narodu, wynalazki. Tam będziemy się mogli ćwiczyć w tem, jak się na zebraniach przemawia, jak się zebrania prowadzi, nabierzemy pewności w wypowiedzaniu swoich myśli. Tam będziemy mieli swoją bibliotekę, swoją gazetę, swoje gry.

A teraz rękę na serce! Czy my w czasach dziwnego zniechęcenia, szału zabaw, w czasach, kiedy mamy odbudować to, co wojna zniszczyła — czyż my, pytam, nie chwycimy się tego jedyne go źródła samopomocy, by sobie, narodowi i krajowi dopomódz do dobrobytu i rozwoju?

A zatem! Kto może, niech przyłoży rękę do dzieła. Ociągać się nam nie wolno! Każdy dzień stracony jest olbrzymią szkodą. Zwróćmy się do naszych księży i nauczycieli o pomoc! Zwróćmy się o poradę i wskazówki do Generalnego Sekretaryatu (Cieszyn, pl. Farny 2). Jego zadaniem jest udzielanie pomocy przy zakładaniu stowarzyszeń oświatowych i dopomaganie do ich rozwoju.

Oświata jest słońcem, które nam oświeca tajemnice wiedzy ludzkiej, cudu świata, prawdy objawione; słońcem, które rozgrzewa nasze serca i pociąga do dobrego, zachęca do coraz wyższej doskonałości. Bliżej do tego słońca! Do tego celu dojdziemy przez zakładanie i popieranie stowarzyszeń oświatowych, zwłaszcza wśród młodzieży, niewiast (Polski związek niewiast katol.) i robotników (Czytelnie katol.).

Do dzieła!

ZŁOTE MYŚLI I ZDANIA.

Nawała pokus równie jak morska burza
dzielnych pływaków wznosi, a słabych zanurza.

* * *

W słowach tylko chęć widzimy, w działaniu potęgę,
trudniej dobrze dzień przeżyć, niż napisać księgę.

Mickiewicz.

Rozmaitości.

Jak ceniono dawniej życie ludzkie. W jakiej cenie było dawniej życie ludzkie, wskazują dobitnie rozporządzenia, wydane przez władze w połowie 18. wieku. Oto za zabicie wilczyca płacono 12 talarów, za wilka 10, za zabicie zaś kłusownika w królewskich rewirach łowieckich 20 talarów. Równocześnie za uratowanie życia ludzkiego wyznaczono premię od 3 do 5 talarów i to tylko w wypadkach, o ile ratujący poniósł przy tem jakąś szkodę.

Największe dzwony na świecie. Największy dzwon na świecie, bo ważący przeszło 100.000 kg., jest w pogańskiej świątyni w Mingum (Indye). W Europie największy jest dzwon w Moskwie, który waży 50.000 kg., ma 7 m. wysokości a 6 m. średnicy. Prawie połowę tej wagi mają dzwony katedry w Kolonii i kościoła Najśw. Serca P. Jezusa w Paryżu (na Montmartre).

Liczba głosek w alfabecie różnych narodów. Włosi mają głosek 20, język łaciński 22, grecki 24, Francuzi 25, Niemcy 26, Anglicy 26, Hiszpanie 27, Arabowie 28, Turcy 28, Persowie 31, Rosyanie 36, język sanskrycki 44, Polacy 58, a najwięcej Chińczycy, bo aż 214.

Barwa i woń. Im więcej kwiat ma koloru, tem mniej daje zapachu. Białe kwiaty pachną najwięcej, potem następują żółte, czerwone, wreszcie niebieskie. Zielone kwiecie wcale nie pachnie, brunatne zaś i czerwono-żółte ma zwykle odor niemiły.

Woda w morzu jest słoną na 3 do 4 procent. Gdyby można wszystką sól z mórz wydobyć, to pokryłaby cały ląd stałą warstwą 60 metrów grubości.

Dawne ceny środków spożywczych. Wobec dzisiejszej drożyzny nie od rzeczy będzie przypomnieć, jakie ceny były dawniej. W r. 1280. na targach marchii Brandenburskiej, jak również w innych księstwach niemieck. za pół garnca ziarna płacono 28 h, za kurę 4 h, za ćwierć kopy jaj 4 h. W r. 1380. krowa kosztowała 6 K, owca 1 K, funt masła 4 h. Robotnik oprócz życia otrzymywał 2 grosze. Natomiast wszystkie jarzyny i owoce były smakołykiem, dostępnym tylko dla książąt i ludzi bogatych.

Mowa na odległość 320 km. Obecny prezydent Stanów Zjednoczonych, Wilson, umie, jak prawdziwy Amerykanin, wyko-



Generał Haller na Śląsku; parada wojskowa na placu koszarowym w Cieszynie.

rzystać dla swych celów najnowsze wynalazki techniczne. Przed kilku miesiącami przyrzekł prezesowi Izby handlowej w Rochester, że w czasie bankietu, wydanego przez prezydium Izby, on wygłosi mowę. Niestety jednak w ostatniej chwili, zniewolony ważnymi sprawami politycznymi, nie mógł prezydent opuścić Waszyngtonu i wyjechać do Rochesteru, aby tam wygłosić przyrzeczoną mowę. Ponieważ jednak chciał koniecznie wywiązać się z obietnicy, wynalazł sposób dokonania tego bez opuszczenia miasta. Rochester leży w odległości 320 km. od Waszyngtonu, w stanie nowojorskim, posiadającym niesłychanie gęstą sieć telefoniczną. Dlaczego więc nie możnaby wykorzystać tak dobrej i tak łatwej komunikacji? Ponadto wiedział prezydent dobrze, że ze względu na ogromną liczbę zaproszonych gości bankiet odbędzie się w głównej sali obrad Izby handlowej, w której przy każdym krześle znajduje się słuchawka telefonu dla połączeń zarówno miejscowych, jak zamiejscowych. Wobec tego porozumiał się telefonicznie z przewodniczącym Izby w Rochesterze, który zarządził, aby podczas bankietu umieszczono na stole przy nakryciu każdego z uczestników słuchawkę telefoniczną. W momencie, gdy odezwał się dzwonek telefonu, wszyscy uczestnicy przyłożyli do ucha słuchawkę, by wśród ogromnego entuzjazmu wysłuchać mowy prezydenta Wilsona, wygłoszonej w Waszyngtonie, a przesłanej po drutach telefonicznych do Rochesteru.

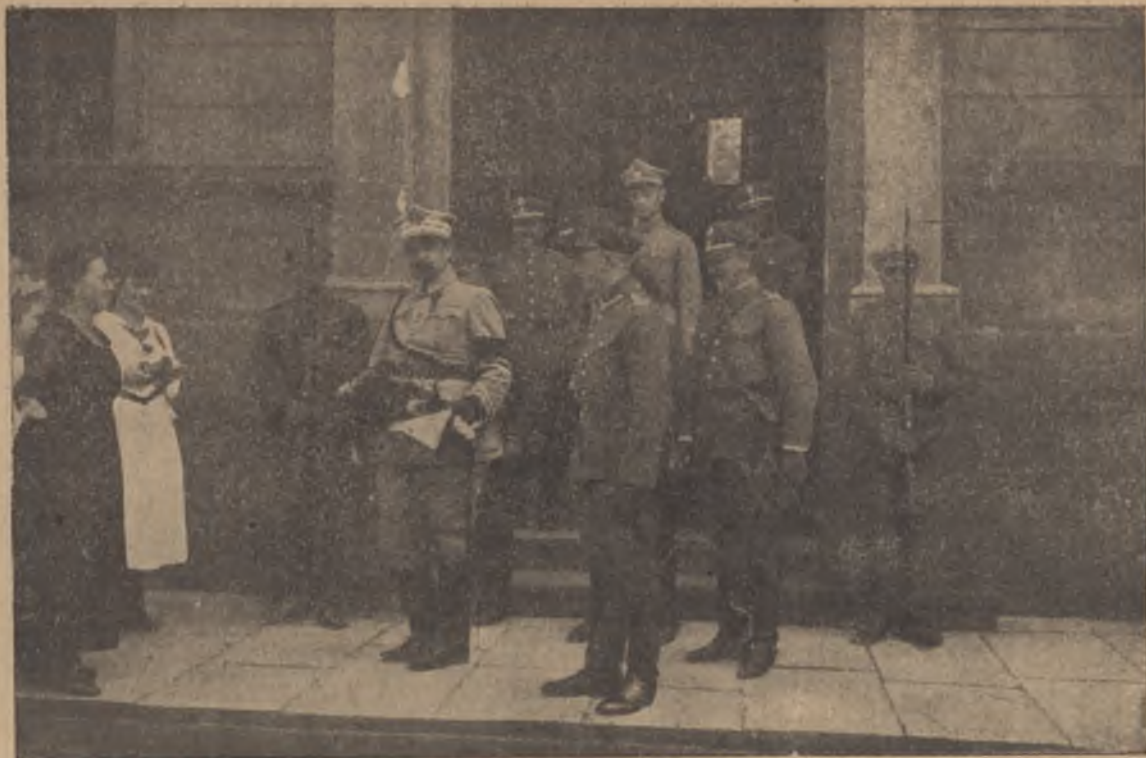
Domowe garbowanie skór. Wyśmienitym sposobem garbowania skóry tak końskiej jak bydłowej jest używanie wapna i ałunu. Na jedną skórę przepis jest następujący: Nasamprzód w jakiejś beczce ze smarowidła układa się złożoną skórę i zalewa mlekiem wapiennym. Po 14 dniach goli się sierść, która z łatwością odchodzi. Następnie, wylawszy wapno, zalewa się w tymże naczyniu skórę roztworem 1 kg. soli i 1 kg. ałunu tak, by płyn przykrył ją. Po dniach 14 garbowanie skończone i skóra wyśmienita do użytku. Sposób ten stosowałem do skór końskich, które po wyprawie zachowują swą grubość, a wymięte nabierają elastyczności.

Jak się obchodzić z obuwem? Od należytego obchodzenia się z obuwem zależy jego trwałość. Zdjąwszy obuwie z nóg, trzeba je zaraz z kurzu lub z błota oczyścić, podeszwy codziennie wysmarować olejem lnianym lub innym roślinnym (nigdy tłuszczem zwierzęcym, szybko się psującym), wierzch zaś cienko pociągnąć pastą lub czernidłem i zaraz oczyścić aż do połysku. Co dziesięć dni letnią wodą zmyć czernidło, wierzchy posmarować olejem lnianym i tak posmarowane zostawić przez kilka dni, po-

czem czernić czernidłem jak zwykle. Przemoczone obuwie należy naciągnąć na kopyto lub w braku tegoż, by formy nie straciło, wypchać twardo papierem, łątkami albo słomą i niech tak zwolna i zdala od pieca wysycha. Posmarować je następnie całe olejem lnianym i na drugi dzień poczernić jak zwykle. Aby buty nie przemakały, trzeba użyć następującego środka. Pół litra oleju lnianego wlewa się do kamiennego garnka, dodaje 60 gramów łożu, 20 gramów wosku i 16 gramów żywicy i topi to razem na wolnym ogniu, pilnie mieszając. Gdy się wszystko dobrze rozpuści i razem zmiesza, wtedy czyste, suche i niedziurawe obuwie smaruje się całe tym płynem za pomocą pędzla raz za razem wierzch i podeszwy. Jeżeli obuwie jest starannie posmarowane, to choćby i godzinę było w wodzie, nie przepuści wody.

Pranie pierza w domu. Zagotować sody i mydła w miękkiej wodzie; wylać w wannę. Gdy woda trochę przestygnie, wsypać w nią pierze, przeznaczone do wyprania. Naturalnie nie należy przy sypaniu tem zapomnieć, że to pierze. Zanurzyć zwolna wszystko i prać. Wyciskać w rękach i wkładać w drugą wannę w letnią, czystą wodę. Wypłukać dobrze i wyciskać w rękach, przez co utworzą się kulki. Każdą taką kulkę rozskubać i wkładać w dużą poszwę. Po wyciśnięciu i rozskubaniu wszystkiego pierza zaraz umieścić poszwę w miejscu, gdzie słońce jak najmocniej przypieka. Z początku należy często poszwę przewracać, aby pierze równo wysychało i by się nie zgrupiło, trzeba pamiętać o przetrzepywaniu. Po 5 dniach — w mniejszej ilości i prędzej — wszystko pierze wyschnie i jest tak nowe, nawet ładniejsze. — Puch również w ten sposób się pierze, lecz należy bardzo starannie po wypłukaniu kulki rozskubywać, aby się nie zgrupiło. — Sposób ten jest bardzo dobry, zastąpi pranie w chemicznej lub specjalnej pralni pierza. Kto raz się przekona, ile brudu jest w świeżo zdartem pierzu, ten nigdy nie usypie nowej pościeli, nie wyprawszy wpierw pierza. Każde pierze, nawet takie, w które mole się dostały, można oczyścić w ten sposób. — Jest to praca na gorące, pogodne dni lata, nie wymaga nadzwyczajnej siły, tylko dużo wody i dobrej chęci, by wszystko w domu było w porządku.

Pierwsza pomoc w nieszczęśliwych wypadkach. Obowiązkiem naszym jest bliźnich naszych w trudnościach wspierać i w niebezpieczeństwie ratować. Nawet wtedy, gdy życiu wprost nie zagraża niebezpieczeństwo, trzeba natychmiast zawezwać lekarza a równocześnie nieść pierwszą pomoc dotkniętemu nieszczęśliwym wypadkiem. W niektórych wypadkach trzeba nawet



Gen. Haller na Śląsku przed koszarami w Cieszynie d. 12. czerwca 1919 r.

robić próby przywołania do życia; żeby jednak do rzeczy zabrać się uniejętnie i nie zaszkodzić nieszczęśliwemu albo powiększyć jego boleści, należy przestrzegać następujących wskazówek: 1. Przeciwno otruciu jest bardzo dobrym i powszechnie prawie znanym środkiem zimne lub ciepłe mleko. We wszelkich wypadkach wewnętrznego otrucia należy powodować wymioty. Otrutemu trzeba przeszkadzać, by nie zasnął, dopóki wszelkie niebezpieczeństwo nie jest usunięte. Jeżeli znanym jest rodzaj trucizny, z którą się ma do czynienia, przestrzegaj co następuje: jeżeli rozchodzi się o zatrucie przez rośliny trujące, daje się mocną kawę lub herbatę, zimne okłady i kładzie się plastry gorczyczne na żołądek i łydki. Jeżeli przyczyną zatrucia jest jakiś kwas, to sole ługowe, jako to soda, dwuwęglan sodu, woda wapienna, magnezja i t. p. są dobrymi środkami zaradczymi. Jeżeli zaś sole ługowe spowodowały otrucie, to trzeba gotować kwaśny kompot, ocet, kwas cytrynowy i t. p. Salmiak, okłady rozcieńczonym octem, obłożenie gliną lub wilgotną ziemią są dobrym środkiem przeciwko ukąszeniom przez owady. Gdy kogoś ukąsił wściekły pies lub jadowity wąż, należy powiększyć ranę, wysać ją i doprowadzić do krawienia. Wypływająca krew obmywa się czystą wodą, którą się często zmienia i czystą gąbką, która się albo zmienia, albo od czasu do czasu wypłukuje. Wysysający ranę musi mieć zupełnie czyste i zdrowe wargi. Ponad miejscem ukąszenia należy zraniony członek mocno podwiązać. Pacjentowi dać się napić trunków alkoholowych, jako to wódki, czerwonego wina i t. d. — 2. Sparzone części ciała posypuje się dwuwęglanem sodu, skrobią, mąką albo pomaże masłem, oliwą, białkiem, miodem lub syropem. Jeszcze lepiej nałożyć kawałki lnianego płótna, zwilżonego w mieszaninie z wody wapiennej i oleju lnianego z 10 proc. jodoformu albo 1 proc. tymolu. Dobrą jest także maść borowa albo salicyłowa, należy jednak unikać stanowczo zimnej wody. — 3. Zmarzniętego należy ostrożnie rozebrać, obłożyć śniegiem albo zimnemi wilgotnemi płachtami, lub też daje się mu zimną kąpiel. Dbać o to, by czynności odbywały się w pokoju zimnym lub na wolnem powietrzu i unikać starannie pokaleczenia jakiegokolwiek części ciała. Skoro tylko członki stają się giętkie, należy wywoływać sztuczny oddech i dopiero wtenczas, gdy się skutki tej czynności pokażą, można skostniałego wziąć do cieplejszego pokoju. Poczem następują powoli i stopniowo nacierania grubem sukniem. Mocne drażniące węż środki, jak salmiak, a wewnątrz wino, zimna kawa i t. p. są zdolne zmarzniętemu znowu przywrócić przytomność.



Generał Haller na Śląsku; przybycie do Małych Kończyc, gdzie poległ brat generała,
kapitan ś. p. Cezary Haller w walce z najezdcą czeskim,

Do wszystkich!

Jesteś już członkiem »Dziedzictwa błog. Jana Sarkandra?

Nie? O, to wielka szkoda dla Ciebie.

Nie wiedziałeś nic o »Dziedzictwie«? To wstyd.

Tyle się o niem pisało.

Możesz wiedział, słyszał, czytał, aleś się z niedbalstwa na członka dotychczas nie zapisał.

Gdybyś to był dawniej uczynił, miałbyś już sporą biblioteczkę w domu. Tak nie masz nic.

Zapisz się natychmiast, zapisz dzieci, namawiaj krewnych, znajomych, sąsiadów. Wkładka jednorazowa wynosi obecnie 50 K. Zgłoszenia przyjmuje sekretarz »Dziedzictwa« ks. Tomanek, Sekretaryat Generalny dla spraw oświatowych (ks. Biłko) Cieszyn, Plac Farny 2 i sekretarz Związków zawod. Karol Martinek, Cieszyn, Stary Targ 4.

»Wierźcie w Światło, byście się stali synami Światta!«

(Jan 12, 36).

»Obleczmy się w zbroję światłości!« (Rzym. 13, 12).

Należysz jako członek do »Opieki nad kształcącą się młodzieżą katolicką im. błog. Melchiora Grodzieckiego?« Tyle już to stowarzyszenie dotychczas dobrego zdziałało. Zbudowało i urządziło Internat w Bobrku w r. 1913 dla polskiej, katolickiej młodzieży, uczęszczającej do wyższych zakładów naukowych w Cieszynie i w Bobrku. Tam, w Internacie w Bobrku, będącym pod dyrekcją p. prof. Bogocza i w filii Internatu, umieszczonej prowizorycznie w Krajowym zakładzie wychowawczym w Cieszynie (Frysztańskie Przedmieście) pod nadzorem p. prof. Grzybowskiego, znalazło pomieszczenie, zdrowe mieszkanie, wikt, fachowy, pedagogiczny nadzór 150 studentów, Twych synów, za tanią opłatą.

Trzeba nam koniecznie Internatu dla dziewcząt, uczęszczających do szkół polskich w Cieszynie. Zbieraj na ten cel datki, ofiary, składaj przy radosnych i smutnych zdarzeniach grosz na ten zbożny cel. Przystąp na członka!

»Utrać pieniądze dla brata i przyjaciela twego, a nie kryj ich pod kamieniem na stracenie!« (Ekkli. 29, 13).



Generał Haller na Śląsku; Msza św. połowa, odprawiona przez ks. pośta Brandysa
w Zebrzydowicach w obecności gen. Hallera i świty.

Wiesz, że niedola sieroty jest pożalowania godna? A obecnie po wielkiej wojnie tych sierot tak wiele, tak strasznie dużo! Chcesz się przyczynić do ulżenia ich doli? Wspieraj Katolicką Rodzinę Sierocą, stowarzyszenie, które spełnia obowiązki ojca i matki nad temi sierotami, stara się łązy biednych sierot osuszyć, nagość ich okryć, głód ich zaspokoić, dać im możność odpowiedniego umieszczenia, wychowania na światłych, dobrych, sumiennych obywateli i pożytecznych członków społeczeństwa. Kładź grosz ofiarny na tacę, gdy cię poproszą o datek na Katolicką Rodzinę Sierocą. Niech się Twe nazwisko znajdzie na spisie członków tego prawdziwie humanitarnego, katolickiego, samarytańskiego stowarzyszenia!

»Błogosławiony, kto dba o biednego i potrzebującego; w dzień zły poratuje go Pan«. (Ps. 40,2).

»Cokolwiek uczyniliście jednemu z tych braci Moich najmniejszych, Mnieście uczynili«. (Mat. 25, 40).

Zgadnij!

Dlaczego księżyc jest taki błądy?

Bo się przez tyle nocy nie wyspi.

Co jeszcze można mieć w i w próżnej kieszeni?

Dziurę.

Jaka jest różnica między pchłą a słoniem?

Słoń może mieć pchłę, pchła słońca nigdy.

Jak długo śpi osieć?

Az się obudzi.

Co narobi więcej hałasu niż szczekający pies?

Dwa psy.

Co chodzi bez nóg?

Zegar.

Ile zębów ma zdrowy człowiek?

Pełne usta.

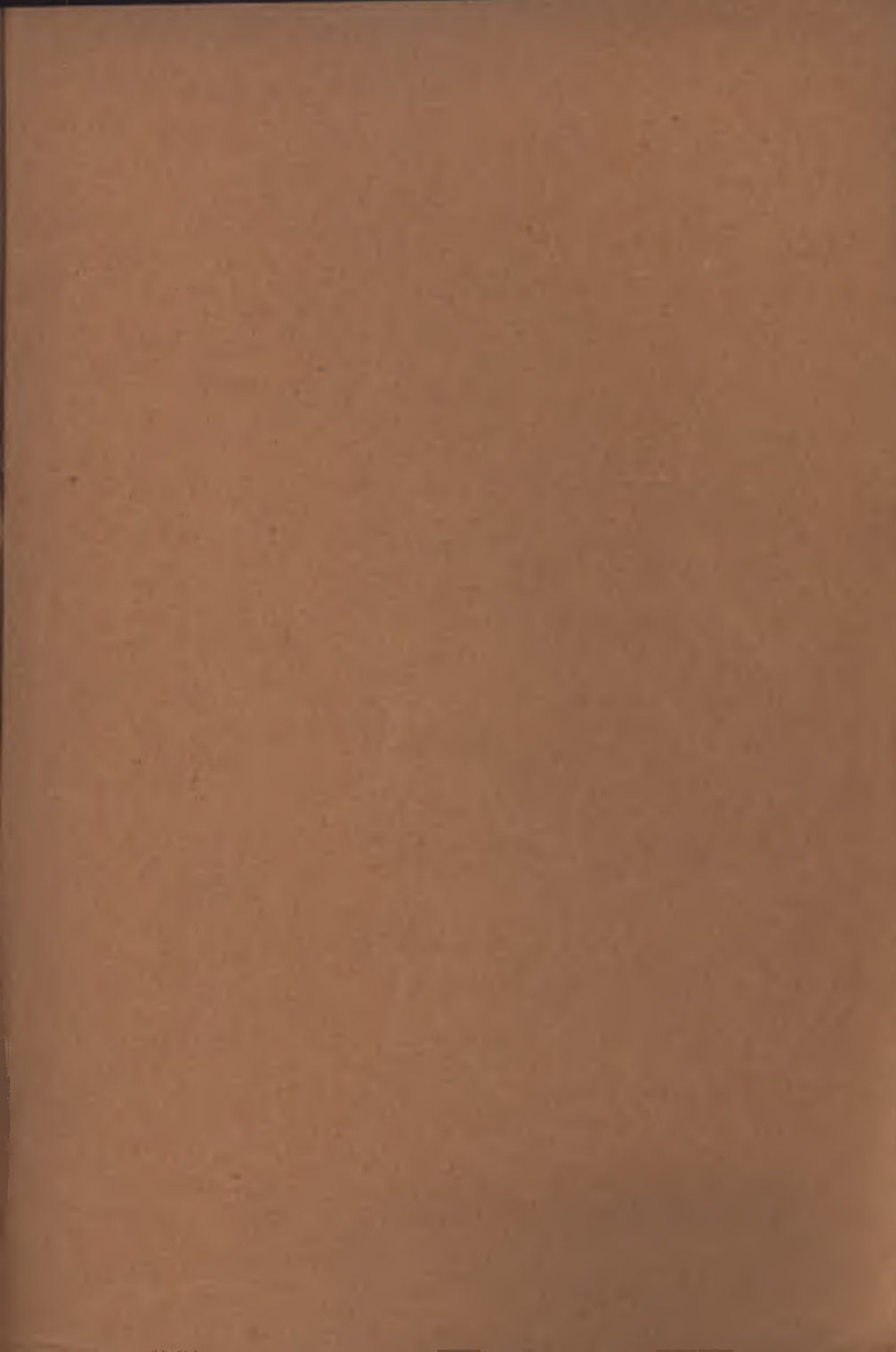
Dosłowne spełnienie rozkazu lekarza.

Lekarz zapisał choremu krople. Przyszedłszy na drugi dzień do niego znalazł go w kąpieli. Przerażony woła: Któż Wam kazał iść do wody w takiej chorobie?

— Wy, panie doktorze — odrzekł chory — boście kazali, żeby codziennie zażywać 30 kropli w wodzie.

Nasze obrazki.

Kalendarz tegoroczny przyozdobiliśmy strojnie w piękną szatę obrazkową z wielkich chwil historycznych minionego roku; zależało nam na tem, by Czytelnicy mieli trwałą pamiątkę tych wiekopomnych zdarzeń, jakie przeżywał nasz Śląsk w r. 1918. i 1919., uwiecznioną w pięknych, wyraźnych obrazkach. Nasamprzód portret Ojca św. Benedykta XV., tak bardzo nam, Polakom, życzliwego, następnie zasłużonych działaczy śląskich ś. p. P. Stalmacha i ks. pośła Józefa Londzina, dalej fotografie naszych mężów stanu: Naczelnika państwa Józefa Piłsudskiego, wielkiego artystę i prezydenta ministrów Ign. Paderewskiego, prezydenta Stanów Zjednoczonych Wilsona i naszego poetę śląskiego ks. prob. Grima. Następują obrazy wielkiego, pamiętnego wiecu, odbytego dnia 27. października 1918. r. na rynku w Cieszynie, który był początkiem usamodzielnienia Śląska i żywiółym dowodem świadomości narodowego szerszych warstw ludności polskiej na Śląsku, dalej obrazy Rady Narodowej, członków prezydium, członków komisji międzysojuszniczej, urzędującej od lutego 1919. r. w hotelu »pod Jeleniem« w Cieszynie. Następnie przesuwają się obrazy smutne, przerażające, pełne grozy, ofiar najazdu czeskiego na Śląsk polski w styczniu 1919. r. Te trupy strasznie zmasakrowane niech będą ciągiem memento naszych obowiązków wobec tych pomordowanych za wolność naszego kraju bohaterów i naszych obowiązków wobec naszej ich krwią serdeczną zbrczonej ziemi śląskiej przy nadchodzącym plebiscycie. Wracające z pod Skoczowa zwycięskie wojska polskie witał lud polski na Śląsku w nieprzejrzanych tłumach, zebrany w Cieszynie dnia 26. lutego 1919 r. I tę chwilę podniosłą chcemy utrwalić seryą obrazków. Pierwszy obchód w Cieszynie imienia Naczelnika Piłsudskiego zgromadził komisję aliantów i różne wybitne osobistości na nabożeństwie przed koszarami dnia 19. marca 1919 r. Odnośna klisza przedstawia grupę osób, biorących udział w tej uroczystości. Dnia 12. czerwca zjechał na Śląsk twórca i organizator armii gen. Józef Haller. Kilka scen z pobytu tego popularnego wodza na Śląsku utrwali w żywej pamięci szereg zdjęć, które przedstawiają gen. Hallera na dworcu cieszynskim, przy koszarach w otoczeniu oficerów, w Małych Kończycach i Zebrzydowicach. Obrazki te, to panorama z wielkich zdarzeń z pamiętnego roku 1918. i 1919. dla nas Polaków na Śląsku Cieszyńskim.



Swój do swego!

Swój do swego!

Bank Cieszyński Kredytowy w Cieszynie

stowarzyszenie zarejestrowane z nieograniczoną poręką

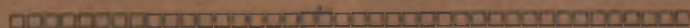
Dom „Dziedzictwa“ na Starym Targu (nr. 4, I. p.)

z fillami w Dziedzicach i Jabłonkowie

udziela pożyczek na hipotekę i weksle

na umiarkowany procent i przyjmuje

wkładki na oszczędność



W Banku wymiana pieniędzy.

Kancelarya otwarta codziennie z wyjątkiem niedzieli
i świąt

od 9. do 12. przed poł. i od 2¹/₂ do 4. po poł.

Osoby w gminach oddalonych od Cieszyna otrzymają na
żądanie czeki pocztowe, którymi mogą przesyłać pieniądze bez
wazekkich kosztów, a kwota nadesłana może być w każdej
chwili w książeczce wkładkowej uwidocznioma.

DYREKCJA.